

ciąg dalszy na str. 2

c.d. ze str. 1

bowiazkowego nauczania podstaw nauk politycznych we wszystkich szkołach wyższych. Decyzje te nie zostały wówczas przyjęte jako wyraz odczuwanej potrzeby, ale jako forma swoistej represji wobec nieposłusznym studentów. Trudno więc aby w tej sytuacji uzyskali akceptację studentów i środowiska naukowego. Pamiętam dydaktykę z tegoż przedmiotu na początku lat 70-tych. Łączyła się ona z niekończącymi się dyskusjami czy nauki polityczne i filozofia są potrzebne. A przecież o-

tów, korelacji organizacyjno-programowej tych przedmiotów z dydaktyką w szkole średniej itd., itd. W związku z brakiem, w zasadzie, specjalistów-politologów realizowali je prawnicy, historycy, socjologowie, ekonomiści itp. nadając im z konieczności piętno własnego przygotowania zawodowego. Należy tu wspomnieć też o nieudanym eksperymencie z nauczaniem filozofii, polegającym na ograniczeniu, a nawet zamknięciu w latach 70-tych systemu kształcenia na poziomie wyższym; utworzone za to studia doktoranckie, na które przyjmowano absolwentów innych dyscyplin. Wycofano się w tym przypadku na drugie półowie lat 70-tych, ale efektem był chroniczny brak fi-

pracowników wykładowych w/w przedmioty — nastąpiło bardzo znaczne umocnienie kadry, pojawiło się wiele absolwentów politologów, filozofów itp.; pojawił się też znaczący dorobek naukowy w wyniku czego umocnił się akademicki charakter tych przedmiotów. I prawie w tym samym momencie uzewnętniła się kryzys zaufania do nauk społecznych.

Studenci żądają posunięć zmierzających do pozabawienia w/w przedmiotów rangi akademickiej, a więc zniesienia egzaminów, jak również — w skrajnych przypadkach — wszelkich rygorów akademickich w myśl przekonania, że ewentualna wartość tych przedmiotów powinna pole-

Można oczywiście, w imię „czystej” nauki, odejść od rozważań nad najbardziej podstawowymi problemami współczesności, ale jest to już kwestia przyjęcia w nauce określonych wartości wyjściowych.

Pozbawienie nauk społecznych możliwości rozwoju oznacza w dłuższym okresie czasu nieuchronne skazanie społeczeństwa na rozwój żywiołowy. Nie jest to twierdzenie przesądzone. Przeciwnie życie postawiło przed naukami społecznymi ogrom dotąd nie rozwiązywał problemów, a w całym kraju toczą się i będą się toczyć głębokie dyskusje jednoznacznie potwierdzające potrzebę wiedzy z dziedziny nauk społecznych; trudno

objąć nowych warunków, w jakich rozwija się kraj — warto odwołać się do tez Lenina zawartych w pracy pt. „O niektórych właściwościach historycznego rozwoju marksizmu”, w której pisze m.in., że „powtarzanie hasel wykutych lecz niezrozumiałych, nie przemyślanych doprowadziło do szerokiego rozpowszechnienia czczego frazesu, który sprostował się w praktyce do zupełnie niemarksistowskich, drobniomieszczańskich prądów. Marksistowski charakter zachowała li tylko frazeologia...” Inaczej: szerokie upowszechnienie marksizmu w sytuacji, kiedy marksizm stał się ideową wykładnią partii będącej u władzy — rodzi niebezpieczeństwo polegające na tym, że umasowienie wiedzy w zakresie marksizmu powoduje wręcz nieuchronne tendencje do uproszczonego, a zatem i opaczego sposobu pojmowania jego niełatwych przecież do zrozumienia ekonomicznych, filozoficznych i socjologicznych treści.

Aby określić obiektywnie miejsce i rolę nauk społecznych w uczelni, abstrahu-

ność jednostek wyzwołać na użytek społeczny.

Pośrednio modele tego typu wiążą się z orientacją szkoły wyższej na zawodową lub uniwersytecką, ale dyalekt ów ma też swoje odzwierciedlenie w sposobie traktowania nauk społecznych przez środowisko akademickie. Stanowisku, iż nauki społeczne służą przede wszystkim funkcjom ogólnokształcącym — przeciwnie stawiane są poglądy zmierzające do maksymalnego przybliżenia treści przedmiotów społecznych do kierunku studiów, bądź też poglądy oczekujące od nauk społecznych wypełnienia luk w planie dydaktycznym innych dyscyplin. O sobości raczej opowiadam się za poglądem, iż nauki społeczne w uczelni (pomijając oczywiście sytuacje, w których są kierunkowymi) spełniają przede wszystkim charakter wiedzy ogólnokształcącej, rozwijającej wszechstronnie osobowość i umiejętności poznawcze absolwenta. Na dalszym planie zostawiłbym tak często eksponowaną funkcję światopoglądową nauk społecznych, ponieważ — obiektywnie rzecz biorąc —

Czy ze sporów zrodzi się zdrowy owoc?

ciąg dalszy ze str. 1

„GW”: — Wydaje się nam, że w stosunku do innych województw w Białostockiem obserwujemy mniejszy ferment w partii, w środowiskach twórczych. Dlaczego? Oczywiście opowiadamy się za fermentem myślowym.

S.Z.: — Nie porównywałbym się do Krakowa czy Gdańska. Tam są inne tradycje, środowiska dużo liczniejsze, bardziej zwarte. Nie zastanawiałem się głębiej nad tą sprawą, a muszę powiedzieć, że warto, bo pytanie jest ciekawe i ważne.

„GW”: — [Zaryzykowałbym opinię o malej otwartości wielu działaczy instancji partyjnych w województwie na problemy w kraju. I w dyskusjach, i w działaniu widzę jakby kurczowe trzymanie się tylko własnych regionalnych kłopotów i spraw.

S.Z.: — Przez wiele lat w propagandzie, w pracy partyjnej bez umiaru szermowaliśmy hasłami — nasza Białostocznyna, nasz region, nasza dynamika — jak byśmy byli jedyni w kraju. I mamy tego skutki.

Mimo to, nie potępiałbym lokalnego patriotyzmu, a uzupełniałbym o perspektywę krajową.

„GW”: — W naszym przypadku na lokalny patriotyzm nakładała się tarasem większa niż w innych województwach lojalność w stosunku do władz centralnych. W końcu było tu wielokrotnie mniej tzw. dzikich inwestycji, niż dajmy na to w woj. katowickim.

S.Z.: — Podzieliłbym to opinię. Lojalności nie oceniam jednak negatywnie. Bo przecież właśnie sobiepaństwo doprowadziło do kryzysu. Oczywiście musimy dbać, by władza centralna była dobra i mądra, ale słuchać jej trzeba.

„GW”: — Bezkrytycznie?

S.Z.: — Oczywiście nie.

„GW”: — Co się Wam podoba, a co nie podoba w działalności białostockiej „Solidarności”?

S.Z.: — „Solidarność” zrobiła w województwie dużo dobrego. Dyrekcje muszą liczyć się z prawami i interesami pracowników. To dobrze, że związek śmiało walczy o swoje sprawy.

Co mi się nie podoba? Z drobnej sprawy robienie wielkich problemów. Przecież ta cała awantura o drukowaniu biuletynu była niepotrzebna. Nie podobają się mi także niektóre artykuły w biuletynie, są bardzo kontrowersyjne.

„GW”: — Kontrowersyjność trudno uznać za zarzut. To przecież zdrowa cecha.

S.Z.: — Może źle się wyrażę. Powiem precyzyjniej: poważne, trudne problemy polityczne są traktowane niekiedy hasłowo, powiedziami wiecewo. Na przykład w artykule „Odkładam historię”.

Akcentowałbym jednak zjawiska pozytywne. Na przykład podpisane ostatnio porozumienie między związkami branżowymi a „Solidarnością” o współpracy w sprawach społecznych. Dodam jeszcze, że w sprawach zasadniczych władzy wojewódzkiej a MKZ nie doszło do żadnych sporów. Powiedziałbym, że jest to „Solidarność” związkowa, nastawiona na obronę interesów pracowników. We władzach związkowych jest wielu robotników. To bardzo ważne.

Nie można jednak nie widzieć, że do „Solidarności” dołączyli ludzie, których interesy wyraźnie się kłóca z interesami klasy robotniczej. Wiedzą oni, że ich hasła głoszone pod firmą „Solidarności” znajdą dzięki temu zwolenników i staną się wiarygodne. „Solidarność” — moim zdaniem — to przede wszystkim klasa robotnicza i jak uczy doświadczenie odrzuci każdego, kto nadużyje jej zaufania.

„GW”: — Czy są teraz sprawy konfliktowe — o charakterze lokalnym — między MKZ a władzami?

S.Z.: — Nie znam takich spraw. Zresztą w ogóle do żadnej sprawy nie podchodzę ambicjonalnie. Jeśli „Solidarność” ma raczowe argumenty nie widzę powodów, aby się nie porozumieć. Uważam, zresztą, że i „Solidarność” też jest otwarta na argumenty. Traktujemy i będziemy traktować MKZ po partnersku.

„GW”: — Hu członków partii jest w „Solidarności”?

S.Z.: — Ponad dziesięć tysięcy, czyli co czwarty, piąty członek partii w województwie.

„GW”: — Dobrze to czy źle?

S.Z.: — Partia musi być tam, gdzie jest klasa robotnicza, a klasa robotnicza jest głównie w „Solidarności”. Zle więc było, gdyby nie było tam członków partii.

„GW”: — Jak członkowie partii są traktowani w „Solidarności”?

S.Z.: — Słyszałem o drobnych incydentach, ale nie robiłbym z tego problemu. Ogólnie — myślę — że traktowani są normalnie, skoro członków partii wybiera się do komisji zakładowych, do MKZ.

„GW”: — A jak — jako członkowie „Solidarności” — przez własną partię, przez instancje?

S.Z.: — Niektórzy sekretarze, szczególnie w terenie, nie są bardzo pozytywnie na to patrz. Osobście każdego członka partii traktuję jednakowo. Oczywiście — warunek jest jeden: — skoro należymy do tej samej partii, to podstawowym zasad politycznych wszyscy przestrzegamy. Niektórzy członkowie partii i zrazem „Solidarności” występują bardzo śmiało. To plus. Myślę, że nauczyl się tego też w „Solidarności”. To dobrze.

„GW”: — Jaka jest sytuacja na białostockiej wsi? Czy samorząd kółkowy przyjmowany jest przez chłopów z aprobatą, czy raczej rolnicy wiążą swe nadzieje z „Solidarnością wiejską”?

S.Z.: — Trudno mi na to pytanie precyzyjnie odpowiedzieć. Członków „Solidarności wiejskiej” w Białostockiem jest niewiele. Uważam, że w województwie „Solidarność wiejska” nie spotka się z masowym poparciem, m.in. z powodu zróżnicowania narodowościowego i wyznaniowego. „Solidarność wiejska” jest organizacją raczej katolicką.

„GW”: — Czy nie za mocno powiedziane — katolicką?

S.Z.: — Myślę że nie.

„GW”: — A jak przyjmowana jest reanimacja kółek?

S.Z.: — Na ogół pozytywnie. Według mojej oceny wybrane niedawno samorządy gminne startują dość dobrze. Z drugiej strony wielu naczelników, sekretarzy wykazuje nieufność. Myślę, że z czasem ukształtują się autentyczne, partnerskie stosunki gminnej władzy i samorządu rolniczego.

Jedno jest pewne. Zeby samorząd był dobrze przyjęty przez rolników, musi im rzeczywiście pomagać. Z natury samorządu wynika już, że jeśli rolnikom nie będą odpowiadać władze ich kółkowych organizacji to nie tylko mogą, ale i powinni wybrać nowe. I nie wolno temu przeszkadzać.

„GW”: — Termin IX Zjazdu jest nadal nie ustalony. Wstępne zapowiedzi — przełom I i II kwartału — nieaktualne. Niepokoi to wielu członków partii. A Was?

S.Z.: — Na ostatnim posiedzeniu komisji zjazdowej dyskutowaliśmy także o terminie. Muszę powiedzieć, że nie było głosów wołających o natychmiastowy zjazd. Powinien on się odbyć jeszcze w bieżącym półroczu.

Jako Egzekutywa KW wypowiedzieliśmy się za szybkim jego zwołaniem. W województwie jesteśmy gotowi do przeprowadzenia wyborów delegatów.

„GW”: — Do jakiej grupy w Komitecie Centralnym Towarzystwa siebie zalicza? Do jastrzębi, czy do gołębi?

S.Z.: — Nie znam takiego nazewnictwa w odniesieniu do naszej sytuacji. Ale skoro mam się zdeklarować, to określilibym siebie jako centrystę. Nie jestem zbyt ugodowy i zrzucam na nawet niektórych, że np. na naradach pierwszych sekretarzy mówię zbyt ostro. Ale czy taka postawa kwalifikuje do jastrzębi?

„GW”: — Zdefiniujmy jastrzębi jako tych, którzy uważają, że społeczny konflikt w Polsce należy rozstrzygać poprzez konfrontacje, próbe siły.

ciąg dalszy na str. 4

Kontrowersje

wokół

nauk społecznych

gromne niepokoje studentów, jakie przetoczyły się przez Europę w II połowie lat 60-tych, nie omijając i Polski, odbywały się m.in. pod hasłami walki z modelem homo economicus, z modelem człowieka jednostronnie zorientowanego na życie ekonomiczne — na rzecz absolutnie wszechstronnie rozwiniętego.

Bestsellerem tamtego okresu była m.in. książka H. Marcusego pt. „Człowiek jednowymiarowy”, która była sztandarem w walce z represjami intelektualnymi i technologicznymi, które powodowały „myślenie jednowymiarowe”. Wprawdzie wówczas siły rewolucyjnych szukano bardziej na lewo od ruchu komunistycznego, to jednakże główny nurt krytyki kierowany był na cywilizację społeczeństw kapitalistycznych.

Została wówczas raczej zaprzeczona szansa wyważonego pójścia za oczekiwaną mi młodzieży, a wprowadzenie nauk politycznych szczególnie źle było przygotowane socjotechnicznie. Zamiast zacząć od szybkiego przygotowania kadry politologów i stworzenia im szans badań naukowych nad polityką, nad naukowym komunizmem itp. — wprowadzono dydaktykę tegoż przedmiotu we wszystkich uczelniach w kraju bez względu na specyfikę uczelni, wydziałów, zainteresowań kadry naukowo-dydaktycznej, dotychczasowego stopnia przygotowania studen-

lozów „na rynku pracy”, co również powodowało zakłócenia w dydaktyce i w pracy naukowej.

Narzucono też sztywny i centralnie kierowany program, który od początku wzbudzał szereg kontrowersji; zarówno wśród kadry nauczającej, jak i wśród studentów. Wreszcie wystąpiły ewidentne błędy w polityce kadrowej oraz w sferze metodyki nauczania, gdzie nie przywiązywano wagi do nawiązywania kontaktów ze studentami.

Polityka lat 70-tych, wbrew szeregu opinii, była wąsko pragmatyczna, odideologizowana, a wobec braku szerszych opracowań informacyjnych o stanie gospodarki, życia społecznego itp. — pragmatyzm ów był bardzo subiektywny i tendencyjny. Przejawiał się on również w postaci swoistych zadań ideowo-wychowawczych stawianych wybranym naukom społecznym w uczelni. Przypisanie określonych zadań ideologicznych wybranym naukom społecznym w sposób naturalny uwolniło inne od zaangażowania ideowo-wychowawczego, naruszyło w uczelni swoistą jedność działań naukowych, dydaktycznych i wychowawczych obowiązującą wszystkich nauczycieli akademickich. W „międzyczasie” — i to, uważam, winniemy powiedzieć chociażby w imię elementarnego szacunku względem

gać na samodzielnej refleksji. W tym przypadku postawa studentów jest zrozumiała (choćby w świetle wcześniej sygnalizowanych źródeł kryzysowych nauk społecznych). O wiele ważniejsze, i bardziej podstawowe na tle dyskusji organizacyjnych, jest podważanie wartości naukowej nauk społecznych, ich akademickiego charakteru, czy też stwierdzenie, że treści przekazywane przyswojone zostały już w szkole średniej bądź poprzez środki masowego przekazu. Oczywiście dyskusje tego typu trudno rozstrzygnąć w kilku zdaniach. Mam nadzieję, że w kraju, w środowisku akademickim będzie wiele dyskusji na temat wartości naukowej nauk społecznych. Przeprowadzone rozmowy z przedstawicielami innych dyscyplin i ze studentami już wytworzyły pozytywny klimat do dalszej współpracy, bowiem przełamały szereg stereotypów, barier i umożliwiły bliższe, wzajemne poznanie.

wie sobie wyobrazić motywów postaw nakazujących ograniczenie, lub negację nauk społecznych w uczelniach. Społeczeństwo m.in. od nauk społecznych oczekuje krytycznych wyjaśnień naszych historycznych zakrętów i, w konsekwencji, wypracowania takich założeń do realizacji, aby owe zakręty się nie powtórzyły.

Nieuchronnie więc pojawia się problem zaangażowania nauk społecznych. Zwykle w warunkach przemysłowych — zdaniem W. Markiewicza — pojawia się pytanie o „zanurzenie” nauk społecznych w ideologii. Problem ideowego zaangażowania nauk społecznych uważam, za E. Ociepka, za kwestię ściśle naukową, dotyczącą nauki i ściśle związanej z nauką, a nie z jakimikolwiek funkcjami i zadaniami poza naukowymi. Polegałoby ono, najogólniej, na dociekaniu, w kierunku poznania prawdy, na ciągłej weryfikacji i krytycznej analizie dotychczasowego stanu wiedzy.

W ramach samookreślenia się nauk społecznych — w

jąc od szeregu uwarunkowań, należałoby ustalić w miarę precyzyjny pożądaną model absolutna wyższej uczelni i to w miarę dokładniej w „odniesieniu do wszystkich kierunków studiów.

Najogólniej można wyróżnić co najmniej dwa modele absolutna. Czy pragniemy absolutna — dążyć do fachowca, wręcz rzemieślnika, oderwanego od realiów społeczno-politycznego bytowania, skupionego na zawodzie, nie uwzględniającego swego położenia społecznego i pozbawionego możliwości kształtowania realiów życia społecznego? Sądzę, że na takim modelu zawiedliśmy się. Czy też zaley nam na przygotowaniu absolwenta poprawnie przygotowanego zawodowo, innowacyjnie i twórczo nastawionego do życia, a jednocześnie rozumiejącego społeczne potrzeby obywateli, m.in. w związku z orientacją w sferze zjawisk społeczno-politycznych, gospodarczych i innych; z myślą, aby wszystkie umiejęt-

na poziomie studiów są raczej znikome możliwości kształtowania światopoglądu. Zadania te są realizowane w rodzinie, w szkole podstawowej, a najwyżej — w szkole średniej.

Z kolei nauki społeczne, aby mogły sprostać wielości zadań, muszą się umocnić naukowo o wiele bardziej od innych kierunków, aby uzyskać w świadomości zbiorowej miano partnera; muszą ponadto uzyskać samodzielność instytucjonalną.

A tak naprawdę to o sobości jestem przekonany, że pasje poznawcze studentów (tak samo jak i społeczeństwa) są tak ogromne, że przy założeniu szerokiej otwartości sądów i publikacji — przed naukami społecznymi otwiera się potężna szansa dostarczenia rzetelnej wiedzy i pracy zgodnej z wewnętrznymi zainteresowaniami. Szansy tej nikomu nie wolno zmarnować.

ANDRZEJ SADOWSKI

Kwiecień w kinach

Filmy wielkiego maga kina, Federico Felliniego, mają swoich licznych wielbicieli. Sądzi więc należy, iż najnowszy obraz znakomitego Włocha spotka się z dużym zainteresowaniem. „Próba orkiestry” to karykaturalny, w krzywym zwierciadle odbity portret społeczeństwa, który przeobraża się w pamflet okrutny i szorstki, a zrazem w przestrożę. Fellini w „Próbie orkiestry” przestrzega przed z-

ma solidną, realistyczną podbudowę społeczną i środowiskową, co czyni portret bohaterki autentycznym i przekonującym. Obok podjęcia motywu socjologicznego Ritt, znalazł również miejsce na postawienie pytań natury etycznej, dotyczących problemu prawa człowieka do walki o prawdę oraz do samodzielnego określania i wyboru form aktywności życiowej. Wartość tego filmu, obok prostoty, war-

ku równoległych wątkach. Jest to część duża, nieco za duża, i mogłaby prawie stanowić odrębny film. Natomiast część druga jest efektywnym widowiskiem grozy, rozegranym w dobrym tempie, z trzęsieniem ziemi, pożarami i uszkodzonymi samolotami, którego założa robi wszystko, by nie dopuścić do katastrofy. W konfrontacji z kinematografią przebiegu wypadków między 11 i 12 maja 1928 roku w Warszawie i przejęciu władzy przez Pilsudskiego, starcia między obozem sanacyjnym a opozycją w roku 1930 oraz przebiegu tzw. „procesu brzeskiego”. Postać Józefa Pilsudskiego otwiera w filmie sam reżyser.

Filmem przygodowym, z ambicjami historycznymi, jest węgierski obraz „Porwac cesarza” w reż. Tamasa Fényi. Opowiada o jednej z organizacji spiskowych, które powstawały w odpowiedzi na terror austriacki po stłumieniu zrywu narodowowyzwoleńczego w latach 1848-1849 na Węgrzech.

B. PEZOWICZ

centem tej chwalebnej równowagi, jaka zachodzi między dyktaturą i anarchią, a której na imię demokracja.

Zakupiony w ubiegłym roku amerykański film Martina Ritta „Norma Rae” wchodzi dopiero na polskie ekrany (dci). Jest to znakomita, pełna autentyzmu opowieść o zapalczywej i ambicznej dziewczynie, która dąży do założenia związkowej organizacji wielokrotnie w prowincjonalnym miasteczku. Historia zdobywania świadomości przez Normę

ze to skutek skoku cywilizacyjnego, a cywilizacja — no tak, przemysłowa — wiadomo co znaczy: szaryzmy, bezbarwność, myślenie z pomocą gotowych matrycy. Choć tam, gdzie już nacieszono się do woli jej nowobogacką monotonią, na Zachodzie przede wszystkim, każdy teraz raptownie szuka własnej oryginal-

ła to jednakże w ogóle epoka kształtowania się młodych narodów Europy, dotąd nie posiadających swej państwowości. Przez cały wiek dziewiętnasty nowa literatura białoruska rosła i piękniała jako młodsza siostra polskiej. Ze względu i na jej inspirację intelektualną i katolicką proveniencję i łaciński alfabet (jakim posługiwano się wówczas w białoruszczyźnie), władze carskie określały tę białoruską insurekcję kulturalną i społeczno-polityczną właśnie mianem „mtrygi polskiej”.

Kochał się w pieśniach białoruskich Maryla Wereszczakówna, białoruskami odami milował Mickiewicz, jego najserdeczniejszy przyjaciel Jan Czeczot, rozpisywał się w tym języku, zwanym wtedy krywymkim, Tomasz Zan i Aleksander Rypiński, pułkownik Wojsk Polskich, stworzył białoruskie koło literackie Adam Kirkor, Kondratowicz-Syrokonla bronił Wincentego Dunina-Marcinkiewicza przed zajądłością szowinistycznej warszawskiej rodak z Białostoczniny, Konstanty Wincenty Kalinowski tworzył Białoruski Czerwony Rząd (Białoruski Czerwony Ród) i obejmując dyktaturę nad powstańcem 1863 roku w Białorusi i Litwie; w lasach augustowskich walczył powstaniec Franciszek Bohusiewicz, twórca nowoczesnej, narodowej świadomości białoruskiej i autor zawałania: „Nie porzucajmyj mowy swej białoruskiej, abyśmy nie umarli!”

Pod wpływem Polskiej Partii Socjalistycznej powstaje w 1902 roku pierwsza polityczna partia białoruska — Białoruska Rewolucyjna Hromada, na czele której staneli bracia Antoni i Jan Luckiewiczowie, Kazimierz Kostrowicki, Wacław Iwanowski, Wacław Łastowski, Franciszek Stackiewicz, Franciszek Umiasowski, Alojza Paszkiewicz. Celowo wymieniam te nazwiska, ponieważ każde z nich, w

Nasi Białorusini

ską od literata nie-Polaka, co to osłuchany jest od dzieciństwa z polszczyzną? Podobnych analogii można by wysnuć nieskończenie dużo, ważnych i mniej ważnych, lecz niestety, podlaski Wersal u nas, to głównie architektura i kobieci, nie zaś ambicje na miniaturę paryskiej bohemy międzynarodowej (która jakże dużo dobrego uczyniła dla translacji kultury francuskiej, w świat, że wspomnę o jednym jedynie aspekcie obcojęzycznej — minie sprawy). Białostok zaczął na gwałt się zdobywać swej malowniczości kulturowej i niepowtarzalnej szansy na odegranie roli węzła owych związków naturalnych (podkreślam: naturalnych) z kulturami ościennymi. No cóż, mo-

ności, dziaćków-Bretonczyków, matek-Wall-jek, braci-Korsykańczyków czy sióstr z Bas-konii. Trudno wytrzymać w jednakowości komórek plastru, to nic, że w miodzie.

Wierze pewnie nie od rzeczy będzie tu powiedzieć treść o samych narodzinach białoruskiego ruchu narodowego, bez pokapowania się w którym nie nie rozumiemy, skąd i dokąd zmierzają Białorusini, owi sąsiadzi także z bloków mieszkalnych (na Białostoczninie, w interioze, dominuje ethos białoruski; ludność tej około ćwierć miliona tutaj).

Zaczniemy może od tego, że nowożytną świadomość białoruską zrodził duch romantyzmu literackiego, sięganie do ludowości. By-

Od dłuższego już czasu publikujemy coraz więcej tekstów pisanych przez autorów niedziennikarzy. Robimy to po to, aby poszerzyć i pogłębić refleksję o społecznie ważnych problemach. Z taką intencją publikujemy tekst pisma So-krata Janowicza, chociaż — jak sądzi-my — wiele jego szacunków i opinii ma charakter dyskusyjny. Liczymy więc na dyskusję.

REDAKCJA

Już po polskim październiku podnoszone publicznie i oficjalnie to mianowicie, że zbyt mało jest upowszechniana wiedza o narodach nam najbliższych, o swoich sąsiadach, również o Białorusinach, z którymi przecież wspólnie żyjemy w regionie białostockim. Szczególnie pięknie wypowiadał się w tej sprawie, jak pamiętam, pan Czesław Ka-lużny jako przedstawiciel kierownictwa Ministerstwa Kultury i Sztuki. Organizowano wtedy festiwale zespołów artystycznych mniejszości narodowych w Polsce Ludowej, estusie lokując te imprezy w Białymstoku, mieście wielu wyznań i języków. Było szereg innych imprez, animowanych w duchu zachodniej wielokulturowości, np. sympozja popularnonaukowe poświęcone korzeniom naszych pobratymców, odczyty o kulturze białoruskiej czy litewskiej, wystawki, konkursy wszelkie. Aż ci niebawem jakiś przestano się szczyścić posiadaniem u siebie mniejszości, przechwyt-ki tolerancyjnością nabrały cech recytacji na okoliczność. I nawet nie wzruszało to, że posiadanie mniejszościowych środowisk intelek-

3 Czy ze sporów zrodzi się zdrowy owoc?

Ciąg dalszy ze str. 3

S.Z.: — Co to, to nie! Muszę jednak powiedzieć, że nie wszyscy wierzą w łagodne, polityczne rozwiązanie polskich konfliktów. Powiadam, nie wierzą, że to się uda, chociaż tą drogą chcieliby pójść. Coraz więcej jest w tej sprawie sceptycyzmu.

„GW”: — Ostatnio opinię partijną zbulwersowały tzw. inicjatywy oddolne, tworzenie więzi politycznych. Na zwrot „więzi polityczne” użyty w publikacji „Gazety” cenzor natychmiast areszt i wykreślił. Jedni zareagowali na to inicjatywą z podejrliwością i niechęcią, drudzy z nadzieją, że partia podrywa się do działania. Jaki jest stosunek do inicjatyw oddolnych? Czy tak samo jest stosunek całego Sekretariatu?

S.Z.: — Do samej inicjatywy odnoszę się bardzo pozytywnie. Obecnie cały Sekretariat KW — również, chociaż na początku patrzono z podejrliwością, czy nie tworzą się nam nieformalne, pozastatutowe struktury. Krótko powiem — jest to inicjatywa potrzebna.

Dyskutowałem z inicjatorami forum myśli partyjnej. Nieraz poglądy ich są rzeczywiście bardzo skrajne, niektórzy nie do przyjęcia. Nie szkodzi. Po to są dyskusje, żeby opinie konfrontować. Jedno dodałbym — na forum powinny być śmiało wypowiadane wszystkie poglądy i te skrajnie lewicowe, i te dogmatyczne. Z takiego sporu może zrodzić się zdrowy owoc.

„GW”: — Na ostatnim forum dogmatyków wcale nie było słychać.

S.Z.: — Bo na poprzednim mocno ich skubano. A nie powinno się skubać, ani jednych, ani drugich. Niech to będzie spór rzeczowy, pojedynk na argumenty, a nie etykiety. Ale to sprawa kultury politycznej.

„GW”: — Dobrze by było, żeby takie dyskusje trwały zawsze w partii, a nie tylko z okazji kryzysów. Bo to by oznaczało, że partia jest zdrowa.

S.Z.: — Zgadza się w zupełności, chociaż jak dotąd dominuje w dyskusjach negacja i krytyka. Wierzę jednak, że górę weźmie konstruktywizm.

„GW”: — Wróćmy raz jeszcze do Sekretariatu KW. Jak często w Sekretariacie, w Egzekutywie, występują różnice zdań? Jak często pierwszy sekretarz jest w mniejszości?

S.Z.: — I w Egzekutywie i w Sekretariacie występują różnice zdań, w Sekretariacie nawet większe. Ja się cieszę, że są różnice, że nie ma przytakiwania, i nieraz mnie przegłosują.

„GW”: — Członkowie partii, ale chyba nie tylko, chcą wiedzieć w jakich sprawach się różnią Grabski i Barcikowski albo Zawodniński i Topór?

S.Z.: — To dlaczego robicie wywiad z pierwszym sekretarzem. Rozmawiając z innymi sekretarzami również, wówczas sami wychwycicie różnice poglądów, nie na wszystko jednakowo patrzymy.

„GW”: — Ile towarzyszy odeszło z partii od sierpnia?

S.Z.: — Ponad cztery tysiące.

„GW”: — Czy PZPK ma pozostać partią masową czy też ewoluować ku kadrowej?

S.Z.: — Według mnie to nie może być partia ani masowa, ani kadrowa. Masowy nabór do partii — w ostatnim dziesięcioleciu — teraz na nas ostro się mści. Gdybym miał wybierać: masowa czy kadrowa — wybrałbym kadrową. Niech nie będzie nas wielu, ale wszyscy bądźmy zaangażowani. Czy musi nas być aż trzy miliony? Uważam, że nie. Z powodzeniem wystarczy nas półtora miliona. Wtedy jak sądzę ludzie staraliby się wstąpić do partii.

„GW”: — W wielu organizacjach partyjnych krytykowana jest instrukcja wyborcza KC. Zarzuca się jej, że jest za mało demokratyczna, ponieważ dopuszcza możliwość zgłaszania z sali jedynie 50 proc. kandydatów. Za jaką ordynacją wyborczą delegatów na IX Zjazd opowiada się Towarzysze?

S.Z.: — Skreśliłbym to 50 procent i nie ograniczałbym liczby kandydatów. Jestem też za tym, by każdy delegat miał mandat POP, chociaż obligatoryjnie tego bym nie zapisywał w instrukcji wyborczej. Dałbym furtkę dla pewnych bardzo nielicznych wyjątków.

„GW”: — Często słyszy się opinie, iż warunkiem demokracji w Polsce jest demokracja w partii. Jak widnie demokrację w partii?

S.Z.: — Jest to pytanie podstawowe. Odpowiem krótko: chodzi o to, żeby władze wybieralne miały zdecydowanie większy — niż obecnie — wpływ na działalność aparatu partyjnego. Np. proponowałbym utworzenie komisji z członków plenum KW. Komisja — przykładowo — do spraw aparatu partyjnego powinna oceniać pracę tegoż aparatu.

„GW”: — Z wnioskami ewentualnych zmian kadrowych?

S.Z.: — Naturalnie. Przecież aparat KW pełni służebną rolę w stosunku do plenum. Wówczas zmienić się musi stosunek aparatu do ciała wybieralnych.

Odnoszę wrażenie, że w partii mocno zakorzeniła się struktura hierarchiczna. Każdy o szczebel wyżej był już dużo, dużo ważniejszy. Jest to zaprzeczenie demokracji i musimy to zmienić. A zmienimy wówczas, kiedy losy i kariera partyjna będzie zależała od woli wyborców, a nie od łaski partyjnego przełożonego.

„GW”: — Jak w te propozycje wmontować centralizm demokratyczny?

S.Z.: — Oba elementy muszą być traktowane na równi. Zgadza się, że partia nie może być klubem dyskusyjnym, ale nie może być również organizacją skostniałą, zniechęconą, z feudalną drabiną zależności. „Demokratyczny” nie może być jedynie przymiotnikiem centralizmu, to dwa równorzędne czynniki. Centralizm jest nieodzowny, bo zabezpiecza demokrację, chroniąc przed anarchią. Jest to sprawa fundamentalna, gdyż, jeśli nie wprowadzimy demokracji do partii to na kolejne wypaczenia długo nie będziemy czekać. Niezbędnym składnikiem demokracji w partii musi być pełna jawność życia partyjnego.

„GW”: — Wróćmy do spraw aparatu. Jest on ostro krytykowany przez partyjnych szeregowców i obwiniany o wszelkie wypaczenia w życiu partii. Czym według Was konkretnie powinien zajmować się aparat partyjny? Ile na przykład osób powinno pracować w białostockim KW?

S.Z.: — No, nie wiem... Moim zdaniem ten aparat nie jest wcale taki liczny. W białostockim KW jest 59 pracowników politycznych łącznie z sekretarzami KW. Dużo to czy mało?

Myślę, że ci ludzie są niezastąpieni krzywdzeni. Przypisuje się im zbyt dużą władzę, której faktycznie nie posiadają. Z drugiej jednak strony to prawda, że wytworzyła się w ostatnim dziesięcioleciu atmosfera sprząjająca przekonaniu, że aparat partyjny stoi ponad partią. Według mnie wiąże się to ściśle ze wspomnianą już strukturą hierarchiczną partii. Instruktor z KC czuł się ważniejszy od sekretarza KW, chociaż pierwszy był tylko urzędnikiem, a drugi był wybrany przez kilkadziesiąt czy nawet kilkaset tysięcy członków. I musimy temu przeciwdziałać.

„GW”: — Ale jak?

S.Z.: — Na przykład — do aparatu może trafić tylko ten towarzysz, którego wytypowała macierzysta organizacja partyjna.

Aparat partyjny być musi, bo żadna partia na świecie z niego nie rezygnuje. Rzecz w tym, by nie był on ponad partią czy poza kontrolą członków.

„GW”: — Ze być musi — zgoda. Ale czy tak liczny i w takiej strukturze jak obecnie?

Ciąg dalszy na str. 5



„Duża przerwa”

W ostatnim czasie sposób informowania obywateli o najważniejszych sprawach kraju stał się znów przedmiotem ostrej krytyki. Znalazło to swój wyraz w postaci apeli o wyłączenie telewizorów podczas emisji Dziennika Telewizyjnego, które rozpowszechniała „Solidarność” (na przykład podczas strajku w Łodzi), ale także uwidoczniło się w wystąpieniach działaczy partyjnych, choćby na IX Plenum KC partii.

Warto przytoczyć niektóre fragmenty z wypowiedzi Krystyna Dąbrowskiej, sekretarza KW partii w Krakowie. „Jeśli mówi się o odpowiedzialności politycznej za już istniejące skutki konfliktu (...) to na pierwszym miejscu wpisaliśmy właśnie doprowadzenie do ostatecznych granic niewiarygodności naszej propagandy i informacji. Trzeba to surowo ocenić. Ktoś przecież odpowiada za utrzymywanie muru między świadomością społeczeń-

stwa i mas partyjnych, a partyną linią porozumienia ze społeczeństwem”. Informacja jednej strony nakreślała proces fabrykowania tendencyjnych sprawozdań w drugiej, zadziałała prosty i sprawdzony mechanizm: akcja — reakcja. Coraz więcej uczciwych ludzi zaczęło sobie zadawać proste, ale przecież zupełnie podstawowe pytanie — gdzie jest prawda?

W toczącej się grze o duszę okazało się jeszcze raz, że może być ona sku-

Gra o dusze

ta i mas partyjnych, a partyną linią porozumienia ze społeczeństwem”.

Można więc powiedzieć, że krytyka środków komunikacji społecznej — biorąc pod uwagę źródła, z których płynie — stała się powszechna. Zapytamy zatem, jak doszło do tego, że ostatnio prasa, radio i telewizja straciły dużo ze swej wiarygodności, tak żmudnie odzyskiwane w czasach posierpniowych? Konsekwencja odpowiedzi na to pytanie byłoby napiętnowanie ludzi odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. Myślę, że zadanie takie jest może przedwcześnie (!) Można powiedzieć tylko tyle, że my, dziennikarze znów nie w własnej winy straciłmy część zaufania, jakim zaczęło nas darzyć społeczeństwo. Jest to szkoda niepowetowana.

Zatrzymajmy się na chwilę przy relacjach dziennikarskich (?) z wypadków w Bydgoszczy. W świetle raportu ministra Bafi informacja Polskiej Agencji Prasowej o tzw. wydarzeniach bydgoskich była najogólniej mówiąc, tendencyjna, a w niektórych fragmentach wręcz kłamliwa. Ukazywały się też relacje z Bydgoszczy firmowane przez „Solidarność” — w wie-

teczna tylko wówczas kiedy przestrzegała się reguł. Właściwie jednej fundamentalnej reguły, a mianowicie trzymania się prawdy o faktach. Interpretacja faktów jest propagandą. Nikt nie twierdzi, że nie trzeba jej uprawiać. Musi ona jednak opierać się (przynajmniej w naszej rzeczywistości, kiedy to ludzie dysponują określona, dużą wiedzą społeczną i także, wyrobioną przez lata nieufnością) na sprawdzalnych danych.

Jasne stanowisko wobec ostatnich tendencji w naszej propagandzie zajęło Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w uchwale, którą podjęła jego rada w dniu 29 marca. Piszcie się w niej między innymi:

„Mieliliśmy wielokrotnie okazję obserwować, jak środki społecznej komunikacji zmuszono, by służyły dezinformacji, skłócaniu wszystkich ze wszystkimi i wzmaganiu, nie zaś łagodzeniu konfliktu. W tych regionach, w których środki przekazu dysponowały szerszym zakresem swobody informowania nie dochodziło do drastycznych napięć społecznych”.

Wkrótce wpłynie do Sejmu projekt uchwały o cenzurze, z którą związane są duże nadzieje społeczne. Niewątpliwie będzie to akt prawny wielkiej wagi, ale błędny jest pogląd, że załatwi wszystko, czego oczekujemy. Ureguluje on jedną tylko sprawę, mianowicie działalność cenzury, jako Urzędu Kontroli Prasy i Widoków.

Zatrzymajmy się nad dwoma faktami. Na 14 marca br. zaplanowano w telewizji projekcję filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”, którą w ostatniej chwili odwołano. Zapowiedziano, że film zostanie wyświetlony w najbliższej przyszłości. I oczywiście — nie został. W sobotę, 28 mar. telewizja nadaje wypowiedź obywatela, który upatrzył źródło ostatnich konfliktów społecznych w działalności e-

lementów z Narodowych Sił Zbrojnych. Czy na zaistnienie powyższych faktów miała jakikolwiek wpływ cenzura jako Urząd?

Piszac o polityce informacyjnej dojdziemy w końcu do podstawowego pytania — kto ją programuje? Oczywiście stawianie tego pytania nie jest popularne, ale udawanie, że go nie ma, jest w moim przekonaniu błędem. Prędzej czy później zostanie podniesione i trzeba być przygotowanym na danie jakiejś sensownej odpowiedzi. Jeśli wyjdziemy z założenia, że obywatel tego kraju ma prawo współdecydować w najważniejszych dla niego kwestiach, to musi mieć również inny niż dotychczas wpływ na politykę informacyjną. Informacja jest tym dobrem, którego potrzeba w okresach ożywienia społecznego i politycznego gwałtownie rośnie. Jak na razie regulacja tego towaru odbywa się według zasad wzbudzających często sprzeczny. W tym przypadku, o czym z góry wiadomo, nie da się wprowadzić karetek. Chyba, że będą to kartki zadrutowane tym, co chcemy czytać.

A. RÓŻAŃSKI

Szkolna

O tej szkole można zacząć np. z przymrużeniem oka: „na dużej przerwie uczniowska masa przypomina godziny szczytu na Marszałkowskiej, ale nie ma sprawy, bo budynek jest wystarczająco rozciągliwy, żeby równo z dzwoniem każdy uczeń trafił na swoje miejsce w klasie, bądź na korytarzu”. Można również katastroficznie: „rozwrzeszczany tłum chaotycznie przeciska się pod ścianami; lamperia na tych ścianach kajaży się z chórą skórą pokrytą liszajami strupami gipsu. Jeszcze kilka decybeli i nadwerżone, ogołocone z tynku mury suną na dziecięce głowy”.

Ale nie chodzi o ton, którym należałoby wygrać ten problem, lecz o fakty. Szkoła Podstawowa nr 33 im. ppor. R. Kuleszy znajduje się do najbardziej zaleszonych w Białymstoku. Usytuowana na osiedlu Piasta, podobnie jak szkoła nr 10, przewidziana dla kilkuset uczniów, stała się przybytkiem oświaty i wychowania dla 1673 dziewcząt i chłopców z osiedla. W tej armii dzieci 60 maluchów to pensjonariusze ogniska przedszkolnego. Wszyscy inni powinni jakoś mieścić się w 24 izbach lekcyjnych. Ale nie mieszczą się, więc trzy klasy III i jedna II (razem 145 uczniów) maszeruje codziennie do „filii” swojej szkoły wygospodarowanej w sąsiedniej Zasadniczej Szkole Zawodowej Komunalnego Budownictwa Komunalnego. Jeżeli dyrektor szkoły nr 33, Mieczysław Gramacki wybiera się tam na hospitację,

ma „z głowy” pół dnia. Ogółem w szkole jest 45 oddziałów. Gdyby dyrektor zamierzał odwiedzić przynajmniej raz w tygodniu jedną klasę, musiałby przeznaczyć na ten cel codziennie 7,5 godzin lekcyjnych. Od nowego roku szkolnego wolne soboty skrócą tydzień nauczania do 5 dni, a oddziałów znacznie przybędzie...

Gorno pedagogiczne skupia 55 nauczycieli i 8 nauczycieli, razem — 63 osoby. Zdarza się, że niektórych wychowawców dyrektor nie widzi przez tydzień i dłużej. Nie z powodu absencji: po prostu każdy musi tu ściśle przestrzegać ustalonego rytmu godzin i tras przemarszu do klasopracowni (termin dyskusyjny), co pochłania całkowicie przerwę. A jeszcze trzeba dotrzeć poprzez uczniowski tłum do pokoju nauczycielskiego po dziennik, lub podziurkować i poczuwać nad względem bezpieczeństwem dzieci na korytarzach.

Byłoby może nieco luźniej, gdyby — zgodnie z ubiegłorocznymi planami — połowa ulicy Piastowskiej „przeniosła się” do szkoły nr 28. Ale zgodnie z planem przeszli tylko nauczyciele, zmniejszając liczbę etatów w „33” o 5. Z 360 dzieci, które miały odejść, pozostało na miejscu aż 240 uczniów, głównie z klas III, IV i V. Etatów nauczycielskich jest za mało, uczniów w szkole tylu, że przekracza to skandalicznie wszelkie normy, stąd zagęszczenie w klasach i w pomieszczeniach lekcyjnych nie może mieć pozytywnego wpływu na przebieg procesu dydaktycznego.

I tutaj kolejny, nie mniej drastyczny problem. Stan techniczny nowej przebieg, bo powstał w drugiej połowie lat siedemdziesiątych szkoły jest, mówiąc ogólnie, bardzo smutny. Mają na to wpływ zarówno wady wykonawstwa, jak i niewspółmierność duża — w stosunku do możliwości lokalnych obiektu — liczba uczniów. Kiedy szkoła znajdowała się na etapie fundamentów i stanu surowego, nikt nie pomyślał o tym, że ilość młodzieży przekroczy wszelkie normatywy i wyobrażenia. Stąd w sytuacji, kiedy typowy projekt szkoły zaczęło realizować na zasadzie lustrzanego odbicia (z drzwiami „wpadającymi” wprost na ławki), nikt specjalnie się nie przejął, że „uczniowie będą mniej niż przewidziano normy, więc ławki zostaną przesunięte do przodu”.

I rzeczywiście: ławki zostały przesunięte do przodu i to tak skutecznie, że dzieci w pierwszych rzędach siedzą na wyścigach ręki od tablicy. A ławki ostatnie tarasują drzwi z dwóch przyczyn: po pierwsze — bo uczniów w klasie jest około 40 i — po drugie — bo gdyby nieszczęsne ławki odwrócić, żeby drzwi znalazły się w pobliżu ścian z tablicą, to ściana z oknami znalazłaby się w pozycji odwrotnej niż nakazuje logika i zasady BHP, a dzieci miałyby oświetlenie z prawej strony.

Tak właśnie jest w pracowni fizycznej. Światło z prawej, drzwi — żeby było smiesznie — od tyłu.

Przeciętna powierzchnia klasy wynosi 50 m kwadrat. Ale braku pomieszczeń do budowy na kilka dni najmłodszych uczniów. Jedno z nich, o wymiarach 5x5,5 m przypiętym jak jaskółcze gniazdo do ściany sali gimnastycznej. W tej klasie o powierzchni dużej, pokoju w nowoczesnym społeczeństwie mieszkaniu, spędzają kilka godzin dziennie maluchów. Po godzinie nauki atmosfera w pomieszczeniu tak niewiele wspólnego z klasą, że doprawdy trudno się wyobrazić, jak bez tego niezbędnego składnika powstaje dzieci przyswajają wiedzę.

Niestety, metoda jaskółczego gniazda jest jedyną receptą na bardziej funkcjonalne wykorzystanie szkolnych przestrzeni. W ten sposób np. na korytarzu I piętra budowanego gabinetu pomocy szkolnych nie będzie pamięci narodowej, a pięć wyżej — rodzice postawili dzielnie uczniowską. W planie powstały mikroskopia pomieszczenia harcówki. Na starożytno tylko miejsca na dodatkową salę gimnastyczną. Stąd w sali odbywają się lekcje wychowania fizycznego, jednocześnie, a ponadto niesiono na korytarze zajęć praktyczno-rozwojowych najmłodszych klas oraz w niektórych starszych. Przed gabinetem sala lekcyjna pełniła dotąd funkcję szatni. Zmieniła w tym momencie, lekcje matematyki, języka polskiego czy geografii odbywały się w rytm gwizdka na „wujku” za drzwiami.

A więc: tłok. Wszędzie. Stół w dużej przerwie, szatniach z wieszakami, ciążymi stertą odzieży, klasach, w korytarzach, korytarzach, przezwyciężają inwazję tysięcy uczniów zwłaszcza z klas przerwie, kiedy jedne kończą naukę, a inne — czynają. Z sufłotów odpadają platy tynku, do ścian lepią się nie dotykając, bo tynk, skądś dający się głównie z piasku, kruszy się coraz bardziej. Nauczyciele, dyrektor, i rodzice oraz uczniowie bezustannie lepią dziury gipsem, zamalowują farbą, jaka jest pod ręką. Tylko wyrównać ściany nie mogą, bo brak papier ściernego. Od 5 lat nie znalazł się nikogo na konserwacji. Ale kto pójdzie na pół etatu za 1750 zł do takiego budynku? Na dużej przerwie szkolnej dosłownie drży w posadach. Niestety, nie została przewidziana do remontu na rok budżetowy. Zresztą, co remont może zaradzić na ograniczenie liczby uczniów? Jedyny ratunek dla szkoły nr 33 i dla cierpiących na te same schorzenia szkół nr 10, to uzyskanie od władz budynku po Zespole Szkół Ekonomicznych. Ten plan ustalimy wprost od pana wojewody. I oczekujemy stanowiska.

KRYSTYNA KONECKA

Fot. Krzysztof Swideński

Pociemniała Wizna gniewem

Jatrzy się ta sprawa już ponad cztery lata. Po pierwsze: dwa hektary ziemi III klasy leży odłogiem, po drugie: oszukano 16 rolników, po trzecie: nie ma winnych. W Wiznie wszyscy o tym mówią. Spotkana koło poczty staruszka twierdzi, że to wszystko przez tę gminną władzę...

Stanisław Stankiewicz ma 70 lat. Rąbce drewna na waskim jak kieszka podwórzu. Syn Stanisław, następca, pojechał do Łomży szukać sprawiedliwości. Ale czy ją znajdzie?

— Niby jest odnowa, ale ta sprawiedliwość to widocznie strasznie mała rzecz; trudno ją znaleźć — przeczesuje ręką siwiznę nad pomarszczonym czołem.

— Ta decyzja spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Nikt się nie spodziewał. Naczelnik powiedział, że zabiera nam tę ziemię pod państwową budowę. MBM mieli budować, czy coś tam. Potem okazało się, że na naszych polach wytycza się działki pod domki dla pracowników urzędu gminy. Teraz działkę może kupić każdy, kto tylko chce. Za jedną 30 tysięcy złotych.

— Widzisz pan, jakie to moje podwórko: wąskie i długie. Wozem tu nie zawrócisz, ba i rowerem nie dasz rady. Kiedy miałem to pole za stodołą, nie było problemu; przejeżdżałem przez klepisko i już byłem na drodze. Teraz to nie wiem, jak to będzie. Zresztą zobacz pan sam.

Idziemy za stodołę. Gospodarz informuje: — To pole było moją własnością do samej drogi Bronowskiej, ale kiedy naczelnik wyznaczył działki — o, tu się kończy moja własność. Więcej jak 12 metrów kwadratowych tu nie będzie. Naczelnik zapłacił nam po tysiąc złotych za jeden ar. Mnie wyszło 8 tysięcy. Nie wzięłam ani grosza do dziś. Podobno w banku przeleli tę sumę na książeczke. Naczelnik powiedział: „jak nie weźmiecie pie-

niedzy, to przejdą na Skarb Państwa”. Mnie to nie nie obchodzi”. Niech przechodzą, ja ich nie wezmę, bo jak wezmę, to znaczy, że zgodziłem się na tę kradzież.

— Na mojej krzywdzie buduje się Henryk Piotrowski. Ja gnieźdź się, duszę, bo u mnie ciasto. A jemu naczelnik dał moje pole i on teraz ma luz. Będzie kończył budowę stodoły, bo ma za krótką. Nocą zwozi żużel, żwir, pustaki. W dzień ja go gonię z siekierą. On ma chody — naczelnik bierze od niego mleko i jajka. A ja mam następce, który chce gospodarzyć, tylko że to naczelnik nie mi obchodzi.

Wiesz o moim przyjeździe rozniosta się wśród pokrzywdzonych rolników, mieszkających przy drodze do Bronowa. Ściągają ze wszystkich zagrod z żonami, babkami, dziećmi i dziećmi.

— Naczelnik nas wywłaszczał — mówi Zofia Szulc. Mówił, że to będzie dla PGR-u. Teraz robi co chce, nie zważa na nasze prośby. Piszemy gdzie się tylko da, ale żadnej konkretnej odpowiedzi jeszcze nie otrzymaliśmy...

— Jak to nie? Nie pamiętasz, jak naczelnik powiedział, że nawet gdybyśmy pomierali to i tak swojego nie dojdziemy? Powiedział, że on nam udowodni, kto w gminie rządzi. Niech go...

— Tak, oszukał nas jak szczeniaków. On nie ma pojęcia o gospodarowaniu. Bo żeby był dobrym gospodarzem, to by wiedział, że na II i III klasie to powinna pszenica rosnąć, a nie astry i fiołki w ogródkach. A poza tym, to czy działka tej klasy ziemi może kosztować 30 tysięcy złotych? No, niech pan powie...

— Z niego naczelnik, jak z... On tu nie robi. Zrobiła się kilka w tej gminie: on, jego żona i jeszcze kilku. Siedzą i herbatę piją, a gminę zżera gangrena. Syf z malarcią... — Przez to wszystko tylko nerwicy się nabawiam — mówi Zofia Szulc. Już nie wierzę, że coś tu da się załatwić, ale jak sobie pomyślę, że to już nie moje, to nie mogę, no nie mogę. Jak on mógł tak postąpić? On, co moim synem by mógł być. Tak nas okraść? Czy on zrobiłby to swojemu ojcu?

Droga do Bronowa jest zwykłym niepraktycznym traktem, pełnym dziur i kałuż. Jej prawej stronie stoi kilkunastu rolników, w którym min. mieszka naczelnik gminy. Nie opodal — warsztaty i budynek SKR. Z lewej strony drogi zabudowania Henryka Piotrowskiego, a za nimi, w odległości kilkudziesięciu metrów, ciąg nowoczesnych, bliźniaczych stodoł. To odległość mniej więcej w połowie, podzielona jest drogą, tzw. „zagumianką”. Nikt po niej jeszcze nie jeździł, chociaż istnieje już z górą czterech lat. Zresztą gdzie nią można dojechać? Drogę, Zaczyna się bowiem i kończy w śród szczerego pola. Teren między „zagumianką” i drogą Bronowską — to obiekt toczących wojny. Naczelnik gminy, podpisując decyzję o wywłaszczeniu rolników uważa, że sprawa została wyjaśniona. Rolnicy — i trudno im nie przyznać racji — uważają inaczej. Zresztą do końca nie bardzo wiadomo, jak jest.

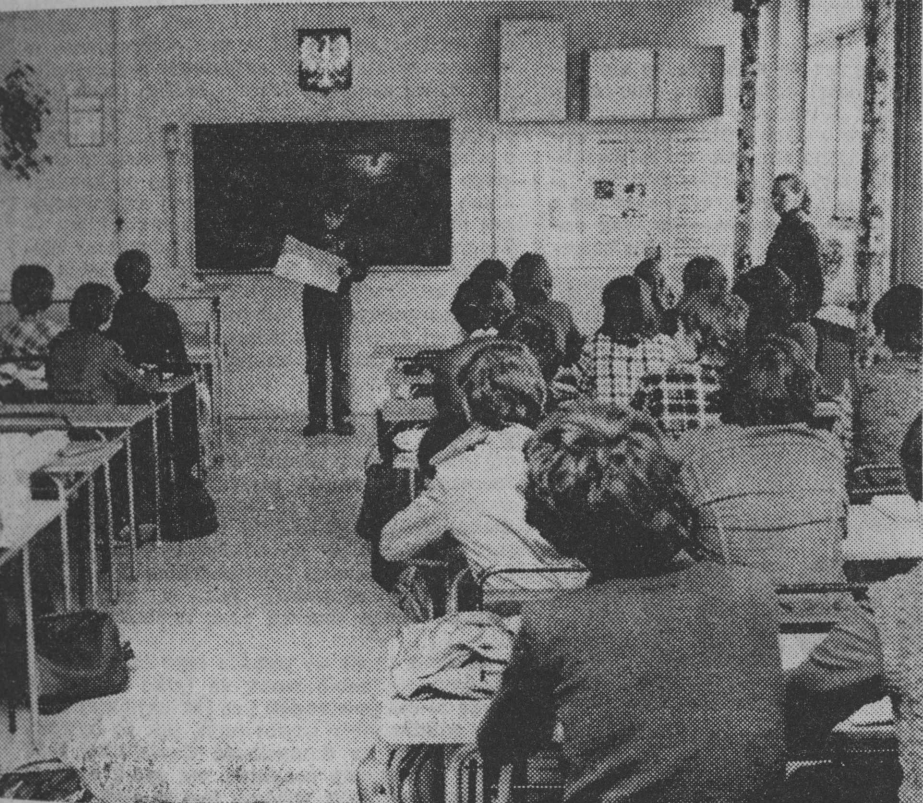
— Ja jeszcze podatek placę za to, co ukradli — mówi Stanisław Stankiewicz.

Chodzimy niczym z procesją po dwukilometrowej powierzchni. Każdy z rolników ciągnie na swoją „krzywdę”. Są rozniewieni, wyrzucają z siebie całą nienawiść do biurokratycznej machiny, do tych, którzy z ciorami weszli w ich życie.

— Przeczuwaliśmy jakąś grę naczelnika raz po raz. Pan szedł pewno, co tu Wizna wtedy tyle chałup poszło z dymem — parę lat temu. Posłaliśmy do naczelnika żeby wyrobił plany na budowę nowych stodoł. Od razu miał opory. Rok zwlekał, oddał od Anasza do Kałfasza. Potem już miał wyjścia, musiał dać plany.

— O, tu ma budować się Jan Ładyżyński. Ma swój szeroki plac na budowę, przy drodze do Łomży. Zresztą nie tylko tam. To nie, tylko to konieczność wiazi. Ładyżyński rzuca się forsą, ma rodzinę w USA. Ona, że wszystko, bo ma pieniądze. A dużo, dużo tych takich, co na lekkim grosz leżą. Nie chcemy nikogo posadzać, ale...

thocznia



Jedna z izb lekcyjnych.



Zajęcia praktyczno-rozwojowe czy w?

POLEMIKI

„Wcześniak?”

po opublikowaniu artykułu Jacka Gruna zatytułowanego „Wcześniak?”, dotyczącego problemów związanych z powstaniem Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Suwałkach otrzymaliśmy zaledwie jeden list polemizujący z autorem. Napisał go red. Janusz Mechanizm, były dyrektor suwalskiej PSM I stopnia, obecnie członek kolegium miesiecnika „Jazz”. Ze zdziwieniem przyjmujemy milczenie o-

sób i instytucji obecnie zainteresowanych w tej sprawie.

Po lekturze artykułu red. Jacka Gruna „Wcześniak?” („Gazeta Współczesna” z 2 marca 1981), poświęconego problemom i kłopotom szkolnictwa muzycznego w Suwałkach, można dojść do wniosku, że autor powątpiewa o sens powołania tam Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia, że szkoła taka powstała przedwcześnie i niepotrzebnie, jedynie jako efekt wygórowanych ambicji władz wo-

wódzkich. Przez parę lat byłem zatrudniony w związku z utworzeniem PSM I stopnia, miałem sposobność poznać na miarę dokładnie potrzeby i dążenia tamtejszego środowiska i oceniam te sprawy nieco inaczej. Już w momencie tworzenia PSM I stopnia w roku 1973 możliwe okazało się zorganizowanie niemal wszystkich potrzebnych i potrzebnych do dyplomowania i oceniania te sprawy nieco inaczej. Już w momencie tworzenia PSM I stopnia w roku 1973 możliwe okazało się zorganizowanie niemal wszystkich potrzebnych i potrzebnych do dyplomowania i oceniania te sprawy nieco inaczej. Już w momencie tworzenia PSM I stopnia w roku 1973 możliwe okazało się zorganizowanie niemal wszystkich potrzebnych i potrzebnych do dyplomowania i oceniania te sprawy nieco inaczej.

miejsku. Termin nie wydawał się odległy, ponieważ kadra pedagogiczna składała się już wówczas m.in. z czterech nauczycieli legitymujących się dyplomami wyższych uczelni muzycznych w różnych specjalnościach i nauczyciela kończącego studia w PWM. Reforma administracyjna przesunęła te cele i realne projekty na plan dalszy. Zarazem jednak sprawa, iż w ośrodku średnia szkoła muzyczna stała się niezbędna również dla coraz liczniejszych uczniów kończących szkoły w pobliskim Augustowie, Olsztynie czy Elku. Tak więc potrzebą i celowością powołania szkoły są oczywiste, a termin podjęcia decyzji — chyba względnie późniejszy. Stwierzenie odpowiednich warunków pracy i rozwoju nowych placówek kształcenia artystycznego to w tej chwili zadanie najważniejsze. Parafrazując niedbły fortuny metaforyczny tytuł artykułu red. Jacka Gruna powiedzieli by należało, że wcześniej wymagała szczególnej troski i opieki. A

jeżeli na przeszkodzie stoją konflikty, czy też raczej konflikt personalny — konieczne jest jego natychmiastowe i definitywne rozwiązanie.

JANUSZ MECHANIZM

OD AUTORA: Mimo, iż jest to list polemizujący, jego autor red. Janusz Mechanizm — w zasadzie zgadza się z moimi głównymi tezami. Oczywiście, PSM II stopnia jest w Suwałkach potrzebna, a w wątpliwość podawam tylko termin jej otwarcia, co nadal podtrzymuję. Zgodzę się, że „wcześniak” wymaga szczególnej troski i opieki, bo wiem przez cały czas przedmiotem mojej troski jest poziom pierwszych absolwentów. Tymczasem — jak wspominałem w artykule — siły konieczne na poprawienie sytuacji spalone są w zawalonych rozgrzewkach personalnych, animacjach, walce — „kto kogo?” Zupnie zgadzam się z

red. Januszem Mechanizmem w momencie, kiedy pisał on, że jest konieczne natychmiastowe rozwiązanie nabrających konfliktów. W liście skierowanym do Redaktora Naczelnego „GW” kilku nauczycieli PSM w Suwałkach informuje o „permanenentnym łamaniu Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela przez suwalski Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego”. Jak do tej pory druga strona milczy. Być może odpowiedź wymaga wieloletniego dialogu konsultacji i narad, może kontrargumenty rodzą się w wielkim bólu. W takim razie jeszcze poczekamy, zaś — zgodnie z zawartą w artykule „Wcześniak” — wspomniane sprawy z pewnością staną się przedmiotem kolejnej publikacji.

JACEK GRÜN

— To jest złośliwość — denerwuje się Karpiniak. Przyjechał Eugeniusz Dąbrowski z Biura Planowania Przestrzennego w Łomży. Mierzył moją działkę. Przyłożył taśmę, czyta: 10 metrów. A potem napisał — 14. Tak, żeby wyszło że mnie jeszcze dużo zostało...

— Kiedyś posłałem do naczelnika — wspomina Aleksandra Piotrowska, żeby wyjaśnić sprawę. Chciałem prosić, żeby mi tę działkę zostawił. Toć tu blisko, jakieś warzywo posadzić, czy kartofle, żeby było pod ręką. Mam już 69 lat i iść pięć kilometrów na pole po koszyk kartofli czy cebulę do obiadu, to dla mnie to ciężko. Nie chciałem z mną rozmawiać. Powiedział tylko: „Idź, babo nie denerwuj mnie. Na cmentarzu ci się działka należy!” A synowi jak poszedł i powiedział, że nie ma gdzie teraz budować słońca, to zaczął kłócić w sąsiedku robić! Ze też to na takiego nie ma siły!

— Zostawili mi za stodołą 11 metrów kwadratów. Gdzie mam złożyć słomę, siano, jakąś kawałek drewna? Na podwórzu nie wolno, żarzą mandaty płacić kasa. W stodołę ciasto. To gdzie? — pyta Jadwiga Górka. Sądziła mnie, bo po pogoniłam z tej wywłaszczonych działki takiego jednego. Nic mi się nie stało, trochę przestraszył się kamieniami. Ukarał mnie, ale on już tu nie zajrzał...

— Ja ogrodziłem całą swoją działkę, łącznie z tą częścią ukradzioną przez gminę — mówi Józef Laskowski. Przysyłał mi parę razy grzywnę po 2 tysiące złotych. Jak przysłał ostatni raz, to poszedłem do naczelnika i powiedziałem mu, żeby bydlę zabierał, a ja paść nie będę miał czym. Na razie jest cisza.

— Kiedy robili te „zagumianki” — mówi Stanisław Piotrowski (senior) — wyszedłem i mówię do naczelnika, że nie pozwolę kraść sobie ziemi. To ten zawołał milicję. I jak pisa, za łeb mnie pokłaniali na posterunek. Mam 73 lata. Na kolegium mnie podali za opór władzy ludowej. Zapłaciłem 50 złotych. Za co? Za swoje, za to, że broniłem swoje pole.

— Ten Ładyziński musi mieć cholerne poparcie u naczelnika. Ma dwadzieścia kilka hektarów. Już dawno dostał maszynę i narzędzia. A ja, żeby byle gówno dostać, muszę — mówi Stanisław Piotrowski (junior).

— O, on ma tu wsparcie. Jemu, wszystko wolno. Nawet już pustaki przywoził. Niech no pan idzie, pokaże...

— Podchodźmy do drogi Bronowskiej. Pustaki leżą na jej środku, prawie pod nosem naczelnika.

— To już tak przeszło tydzień leżą. Jemu wolno, ale żeby to tak któryś z nas...

— Te place to nie lada okazja. Chętnych było z początku wielu, ale jak się ludzie rozejrzeli, że czymś kosztem mają się w życiu urządzić — rezygnują. I teraz wielu chętnych nie ma. Pozostali się ludziska. Tylko ten o, Słauzys Kazimierz z żoną już się wybudowali. Oboje pracują w gminie, w budownictwie. Chłop może nie dostać cementu na budowę obory, ale oni na chałupę dostali co chcieli.

— Mówi Stanisław Piotrowski (junior): — Zawarłem z POM-em umowę na modernizację obory, ale że nie mogłem niczego dostać — musiałem umowę rozwiązać. Nie było rur i drutu żelazowego na kołce. Ale Słauzys znalazł rury i druty na ogrodzenie chałupy. Słupki już stoją, zaraz będzie się grodził. A ja teraz kupię z wolnego rynku rury i prety. Nie są one dobre, będą pewnie prędko kor-

dować, bo cienkie. Muszę jednak robić, bo nie ma z czego. I sam tak siedzę i kłękę te kołce.

— W ogóle pierwszeństwo w otrzymywaniu materiałów budowlanych mają ci, którzy kupią działki i chcą się budować. Wielu ich nie ma, naczelnik chodzi, prosi, namawia żeby tylko kto kupił. A kto tu przyjdzie? Żeby siekiera, albo cegłową dostać? Z nami żartów nie ma!

— Przejąłem te gospodarke, chcę gospodarzyć — mówi dalej Stanisław Piotrowski. Ale jak? Jak ptakiem skrzydła podciąć, to nie poleci. Przyjechał tu pan Jamiołkowski z Wydziału Rolnictwa. Pytałem go, gdzie nam siłos budować. Powiedział, że jemu to obojętne, że mogę i na środku podwórza...

— Panie, żeby w Wiźnie nie było placów pod budowę, zrozumielibyśmy, ale na Witkowie (część Wiżny — przyp. WK) ziemia ma V i VI klasę. Tam można budować! A poza tym ile jest wolnych działek w Wiźnie? Tam budować! A zresztą, niechby nam wzięli ziemię po drugiej stronie Bronowskiej drogi, nie za stodołą — zgoda. Ale tu? Nie możemy się z tym zgodzić. Nie podarujemy, żeby nawet nie wiem co. Z naczelnikiem rozmawiał już nie chcemy. On nam kiedyś powiedział: „Ja na was i na wasze łacie łacie i dalej jęde”. Co to jest ta łacha?

— Tyle krzywdy, co on nam zrobił... Rządzi się jak szara gęś. Nie słucha sekretarza partii, samorządu kołowego. On tu jest jak panicz jaki. Musi mieć cholernie plecy w województwie. Stanowczo za długo tu jest.

— W cichym, przytulnym gabinecie naczelnika gminy dowiaduję się, że wizyta dziennikarza niewiele tu zmieni. Może tylko sprawie zaszkodzi. Niepotrzebnie wokół niej robi się tyle szumu.

— Dzwonił do mnie z „Solidarności” w Białymstoku — mówi mgr inż. Eugeniusz Tyżka — ale nie konkretnego nie mogli powiedzieć. Zresztą, wie pan, to nie moja wina. Decyzję o wywłaszczeniu podjęła sesja GRN, a nie ja. Plany zagospodarowania wsi leżały do wglądu w Urzędzie Gminy. Ogłaszaliśmy ten fakt w gazecie. Czy któryś z rolników się tym zainteresował? Żaden.

Rolnicy twierdzą, że nikt o żadnym planie nie miał wiadomości. Mieli wówczas duży ważniejszy spraw. Nie studiowanie prasy. Od budowy stawów stracony przez ogień dorobek kilkadziesiąt lat.

— A po co tam iść do tej gminy? Tam się idzie tylko w ostentacyjności, tam nie ma z kim rozmawiać. Bardzo się denerwują, gdy im przeszkadzamy w herbatce...

— Owszem — mówi naczelnik — wiemy o Witkowie, że można by tam założyć osiedle. Ale jest to teren nie ubrojony, bez wody i elektryczności. O żadnych innych działkach w Wiźnie nie mi nie jest wiadomo.

— Chętnych na zakup jest wielu. Ale żeby komuś dać, trzeba najpierw komuś dać. Wszystkim naraz się nie dogodzi. Nie ma cudów. Tak prywatnie panu powiem, że nawet jeśli komuś uda się pobudować na tych wywłaszczonych działkach, to ci ludzie życia mieć nie będą. Dotychczasowi właściciele będą ich nękać różnymi sposobami.

— Czy jest jakiś wyjście z sytuacji? — pytam.

— Ja go osobiście nie widzę — z rozbrajającą szczerością mówi naczelnik.

Punkt 9 pierwszego działu Protokołu Porozumienia, zawartego 18 lutego br. pomiędzy Komisją Rządową z Andrzejem Kacalą na czele, a Komitetem Strajkowym w Rzeszowie, przy udziale przedstawicieli KKP „Solidarności” z Lechem Wałęsą, mówi: „We wszystkich przypadkach bezprawnego lub rażąco kupującego przejęcia na rzecz gospodarki społecznej nieruchomości wchodzących w skład indywidualnego gospodarstwa rolnego, należy na wniosek zainteresowanej osoby dokonać zwrotu tej nieruchomości, a gdy to jest niemożliwe dokonać rekompensaty w formie nieruchomości zamiennych lub odszkodowania pieniężnego...”

— Panie, my nie chcemy, upominamy się tylko o swoje. Niech oni pozwolą nam to odkupić z powrotem, my jeszcze dopłacimy, jak trzeba będzie. Ale naczelnik powiedział, że to kupi byle kto, ale nigdy my. Dlaczego? Niech nam pan powie, bo naczelnik nie chce...

WAWRZYNIEN KŁOSIŃSKI

Ileż pytań stawiali sobie w tych dramatycznych dnach Polacy? Dlaczego? Czy tak musiało się stać? Czy musiało do tego dojść? Co się za tym kryje? O co chodzi? Czy nie możemy się porozumieć? Czy dialog jest nieskuteczny? Co dalej z tymi 90 dniami dla premiera Jaruzelskiego? Co dalej z Polską?

Co należy robić, aby nigdy nie powtórzył się taki kryzys?

Na naszą sondę odpowiadają: Jan Józef Szczepański — prezes Związku Literatów Polskich:

Sprawa, wbrew pozorom, jest prosta. Trzeba konsekwentnie utrzymać tryb demokratycznej konsultacji w kwestiach spornych, nie uciekając się do użycia siły. Wydarzenia w Bydgoszczy, bez względu na to jakie były ich przyczyny, to nieprzezwyciężenie praworządności. Faktem jest, że są poszkodowani i że społeczeństwo tego tolerować nie może. Wyjście z sytuacji prowadzi tylko poprzez przywrócenie praworządności.

Prof. dr Jerzy Bukowski — poseł na Sejm:

W żadnym razie nie używać siły. W przypadku jakiegokolwiek konfrontacji, będą zawsze po stronie robotników.

bardziej uczciwej demokracji. Wszyscy, którzy tego nie rozumieją, albo próbują się temu przeciwstawić, zajmują pozycje całkowicie sprzeczne z najbardziej elementarnymi dążeniami naszego społeczeństwa.

Halina Auderska — pisarka.

Ja zastanawiam się nad historycznymi próbami reform i odnowy. Najważniejsze, takie, z których możemy wyciągnąć nauki i wnioski, były dwie. W szesnastym wieku stronnictwo reform i Frycz-Modrzewski postulowali sprawiedliwość wobec wszystkich obywateli i reformę państwa, która wiodła do powstania wieloletniej i interesów osobistych króla, który musiał oprzeć się na magnatach, dążąc do małżeństwa z Radziwiłłówną. Mamy tu przykład wyraźnego górowania prywaty nad dobrem całego narodu.

Co należy robić, aby nigdy nie powtórzył się taki kryzys?

Kazimierz Morawski — poseł na Sejm z Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego:

Uważam, że w drodze negocjacji, przy dobrej woli zainteresowanych stron i przy wzajemnym poszanowaniu. W aktualnej sytuacji rząd i władza w naszym kraju powinny szerzej otworzyć się wobec społeczeństwa, aby społeczeństwo mogło mieć większy wpływ na realizację swoich słusznych postulatów. Z drugiej strony uważam, że władza musi być silna i mądra, toteż i samo społeczeństwo powinno być zainteresowane umacnianiem władzy.

Ryszard Kapuściński — dziennikarz i pisarz:

Weszliśmy w bardzo dramatyczny okres dziejowy, ale ciągle wierzę, że potrafimy znaleźć drogi wyjścia z tego kryzysu i ułożenia naszego życia na takich zasadach, które pozwolą nam egzystować i rozwijać się inaczej i lepiej niż w latach poprzednich. Dla mnie ostatecznym źródłem tego kolejnego kryzysu, wszystkich napaści, jakie przeżywamy od sierpnia, jest zbyt powolny proces demokratyzacji struktur władzy i metod rządzenia. A jedno jest dziś pewne ponad wszelką wątpliwość, że nasze społeczeństwo dużej nie zechce żyć w takich warunkach, w których byłoby skazane na milczenie i niemożność realizowania swoich aspiracji. Jest tylko jedna droga wyjścia z tego kryzysu, to jest droga bardziej intensywniej, bardziej zasadniczej i

Druha próba reform została zapoczątkowana przez Konstytucję 3 Maja. Wini się o ich niezrealizowanie króla. Ale przecież nie zostały przeprowadzone, ponieważ były nie na ręce tym władcom, którzy woleli, aby Polska stała nierządem.

Polska słynęła zawsze we wszystkich wiekach wśród narodów Europy jako naród, który nie znał wojen religijnych ani nienawiści rasowych. Czy mamy zaprzeczyć tolerancję, ten element stały polityki wszystkich naszych czasów, bo zaczynamy oceniać się wzajemnie, pospiesznie oskarżać, zamiast rozważnie oceniać i wspólnie zaradzać złu?

Rolnicy twierdzą, że chcą i potrafią nas wyżywić. Ale fabryki nie dostarczają im potrzebnych sprzętów, nawozów. Przerwy i przestoje w pracy, nastroj paniki przed widmem głodu, prowadzą do pytania, czy chcemy dojść do pozycji zebra i niewypłacalnego dłużnika.

Wreszcie — najważniejsze. Kogo chcemy ucieścić i zadowolić naszą wewnętrzną szarpaniną i coraz gorszymi wynikami pracy? Zostało niewiele ponad 50 dni z postulowanych 3 miesięcy. Czyż nie możemy przeżyć ich w spokoju i rozważnie, bez aktów bezprawia, ale też i anarchy, bez niechęci wzajemnych, natomiast z intencją rzetelnej współpracy, która może uratować nas w oczach własnych i całego świata?

(Interpress)

4 Czy ze sporów zrodzi się zdrowy owoc?

ciąg dalszy ze str. 4

S.Z.: — Na pewno nie. Aparat partyjny nie może dublować struktury administracji państwowej i gospodarczej, ponieważ nie powinien ingerować w bezpośrednie zarządzanie gospodarką i kierowanie życiem państwa. Na dobrą sprawę w instancjach partyjnych powinny być tylko dwa wydziały: organizacyjny i ideologiczny. To wystarczy.

I jeszcze jedno. Nie tylko w aparacie wybieralnym, ale i w etatowym również powinna być wymiana. A problem to niekadry. Pracownicy aparatu państwa przez cały czas ich pracy należą do państwa, nie do organizacji. Organizacja ta powinna oceniać ich pracę z prawem wnioskowania o odwołanie włącznie. Od oceny POP zależałoby więc, czy dany towarzysz będzie pracował w aparacie rok czy dziesięć lat. Przy takim ustawieniu organizacji partyjnej identyfikowaliby się z aparatem...

„GW”: — Teraz to jest właściwie przedział, żeby nie powiedzieć przepaść.

S.Z.: — Przepaść — to za mocno powiedziane. Ale zgadzam się, że aktualne wyobcowanie musimy zastąpić ścisłą więzią aparatu i organizacji podstawowych. Wtedy w partii mówiono by wspólnym językiem.

„GW”: — W wywiadzie dla „Panoramy Północy” powiedzieliście, że „bardzo trudno jest znaleźć ludzi, którzy pokierowaliby instancjami gminnymi czy wiejskimi”. Dlaczego?

S.Z.: — Mści się teraz polityka przywożenia ludzi w teckach. Następcy nie rośli na miejscu. A problem to niekadry. Od stycznia na 45 sekretarzy instancji gminnych zmieniono już blisko 20. Dzisiaj aparat jest pod ostrzałem krytyki społecznej i krytyki partyjnej. Więc niewielu chce do niego przychodzić.

„GW”: — Kto powinien być w gminie sekretarzem?

S.Z.: — Białostocka zazwyczaj się do tej pory tym, że miała bardzo wysoki odsetek sekretarzy miejskich i gminnych z wyższym wykształceniem. W moim przekonaniu nie może to być kryterium podstawowe. Chodzi o to, by sekretarz znalazł wspólny język z mieszkańcami. Dlatego więc nie mogłoby zostać sekretarzem np. dobry rolnik ze średnim czy zawodowym wykształceniem? Wówczas pierwszy sekretarz mógłby pełnić funkcję społeczną, a sekretarz organizacyjny etatowy. W ogóle struktury organizacyjne partii muszą być otwarte na reformę.

„GW”: — Przed kilku laty zapytałem ówczesnego sekretarza KC — Zandorowskiego, dlaczego pierwszym sekretarzem KG nie może być dobry rolnik? Odpowiedział: — nie. Dlatego? Chyba dlatego, ponieważ oczekiwano, że ten sekretarz będzie „trzymał dyrektywnie” czyli z partyną góra, a rolnik, raczej nie będzie trzymał dyrektywnie, tylko ze swoimi wyborcami.

S.Z.: — Stawiałbym nie tylko na ludzi, ale i na mechanizmy, mechanizmy demokratycznego powoływania i odwoływania. Bo jeżeli dobry rolnik — sekretarz — za bardzo skłania się ze swoimi i nadaje zaufanie innym, to musi być sprawny mechanizm po prostu zdejmowania ze stanowiska przez gminną organizację partyjną.

„GW”: — Czym konkretnie partia ma się zajmować? Czy na przykład ma mobilizować ludzi do wykonywania bieżących zadań produkcyjnych?

S.Z.: — Na pewno partia nie może wtrącać się w pracę administracji czy dyrekcji przedsiębiorstw, ani zajmować się działkami drobnymi spraw. Wzajem na przykład tematyczne posiedzenia poprzedniego Biura Politycznego. Zajmowano się nawet tym, ile i gdzie ślać lnu. Przecież to nonsens. Ale przykład sędzi z góry.

Partia powinna się zajmować problemami strategicznymi. Musi rozmawiać z ludźmi, żeby mieć prawdziwą diagnozę sytuacji. Partia powinna również stwarzać warunki dla normalnego obiegu myśli, idei, dla fermentu myślowego w społeczeństwie.

„GW”: — A polityka kadrowa? Czy w nomenklaturze partyjnej musi być nawet szef miejskiej straży pożarnej?

S.Z.: — Ten szef to oczywiście wyaturzenie.

Uważam, że musimy odejść od aktualnie obowiązującej nomenklatury. Nie możemy, ani nie ma takiej potrzeby, by wtrącać się w dziesiątki drobnych spraw kadrowych. Absolutnie nie można ingerować w sprawy kadrowe organów wybieralnych. Jest to sprzeczne z elementarnymi zasadami demokracji.

Natomiast partia musi mieć wpływ na zasadnicze decyzje kadrowe, na obsadę — że tak powiem — pozycji strategicznych. Ale do tego wystarczy kontrola nad piętnastu — góra dwudziestu procentami stanowisk, które znajdują się na aktualnie obowiązującej liście nomenklatury KW.

„GW”: — A ile stanowisk jest na tej liście?

S.Z.: — Łącznie z aparatem partyjnym ponad 900.

„GW”: — Przed rokiem z wiarygodnych ust dowiedziałem się, że KM w Białymstoku przeciwstawił się nominacji na dyrektora, czy nawet na zastępcę dyrektora piekarni osoby z inżynierskim, fachowym przygotowaniem, bezpartyjnej. Sprzeciw nie wynikał z tego, że ta osoba nie potrafi piec bułek, ale dlatego, że posłała dzieci na naukę religii... Jaki według Towarzysza powinien być stosunek partii i instancji partyjnych — szczególnie w polityce kadrowej — do ludzi wierzących, bezpartyjnych?

S.Z.: — Ludzi wierzących, bezpartyjnych powinno być znacznie więcej na stanowiskach kierowniczych niż dotychczas. Jest to również potrzebne dla samej partii, która w interesie kraju powinna dzielić się posenowaniem odpowiedzialności za bieg spraw gospodarczych i państwowych. Wykorzystując przy tym duży potencjał fachowości tkwiący w społeczeństwie.

„GW”: — Polityka kadrowa nie sposób prowadzić jedynie w oparciu o kryterium fachowości. A wymogi moralne?

S.Z.: — Polska przeżywa nie tylko kryzys ekonomiczny i polityczny, ale również moralny. Dla polityki kadrowej plyną stąd ważne wnioski. Na pierwszym miejscu, przy najmniej obecnie, musimy stawiać walory moralne kandydata na kierownicze stanowisko. Społeczeństwo bowiem żąda, żeby ludzie na świeczniku mieli czyste ręce.

„GW”: — Na VIII Plenum KC Towarzysze — czy jako jedyny — opowiedział się jednoznacznie za jawnością życia publicznego, za szybko i pełną informacją, za dużą — czy nawet całkowitą swobodą dziennikarzy...

S.Z.: — ...o ile ich praca służy społecznej stabilizacji.

„GW”: — Dlaczego do tych spraw przywiązujecie tak duże znaczenie?

S.Z.: — Niejawność życia publicznego była, moim zdaniem, jedną z najpoważniejszych przyczyn kryzysu. Przecież gdyby publicznie dyskutowano, do wielu fatalnych decyzji by nie doszło. Natomiast decyzje podejmowano skrycie, w wąskich gronach, na domiar bez rzetelnych fachowców.

„GW”: — A jeśli chodzi o rolę dziennikarzy?

S.Z.: — Wierzę w odpowiedzialność środowiska, które samo może reagować skutecznie na wprowadzanie w błąd czytelników, na gonienie za tanią sensacją czy na nieodpowiedzialne ekscytowanie opinii publicznej. Nie trzeba więc prowadzić dziennikarzy za rączkę, ani zakładać kaganca cenzury.

Od pewnego czasu otrzymuję sporo skarg na „Gazetę Współczesną”. Z niektórymi artykułami też się nie zgadzam do końca. Uważam jednak pisać i jako Zawodniczy czytelnik mogę przeciw napisać list do redakcji i o tego zachęcam skargujących. Nie musimy we wszystkim się zgadzać. Ważne jedynie jest to, aby różne poglądy — przy zachowaniu zasad kultury politycznej i dobrych obyczajów — mogły publicznie być ujawniane. Wtedy — wierzę głęboko, że wszyscy się porozumiemy.

I jeszcze jedno. Nie może być instytucji czy organizacji wyjętych spod krytyki. Tak jak o partii czy rządzie pisze

ciąg dalszy na str. 6

Czy ze sporów zrodzi się zdrowy owoc?

ciąg dalszy ze str. 5

się dobrze i źle, tak samo dobrze i źle powinno się pisać o „Solidarności”, gdy robi błąd. A muszę powiedzieć, że dziś mało kto odważy się publicznie skrytykować „Solidarności”. Chodzi mi oczywiście o rzeczową krytykę, a nie o frontalne ataki.

„GW”: — O ile mówimy dzisiaj o potrzebie jawności to znaczy, że tej jawności jeszcze nie ma. Tak jakby gdzieś komuś zależało na tym, by pełna prawda nie ujrzała światła dziennego.

S.Z.: — Ale walczyć o to trzeba. Z tym, że jawność życia rozumianego szeroko. Dotyczy to i najmniejszej instytucji, i dużego przedsiębiorstwa, i państwa. Uważam, że w życiu publicznym państwa należałoby rozstrzygać wiele spraw w formie plebiscytu, referendum. Ale nie tylko w całym państwie, ale w województwie, mieście czy gminie.

„GW”: — Na przykład w sprawie wolnych sobót.

S.Z.: — Chciałby. Także wielkich inwestycji, kierunków rozwoju gospodarczego: we wszelkich sprawach, gdzie opinia publiczna jest podzielona. Naturalnie, takie referendum powinno się odbyć po uprzednim wyłożeniu argumentów stron, wszystkich za i przeciw.

W imieniu społeczeństwa takie dylematy mają rozstrzygać ciała wybieralne — rady narodowe i Sejm. Lecz to nie przeszkadza, by w szczególnie ważnych sprawach zwracać się bezpośrednio do całego społeczeństwa. I jego werdykt byłby obowiązujący dla wszystkich. Ostatnie referendum mieliśmy w 1947 roku. Większość społeczeństwa nie zna nawet tej formy rozstrzygnięcia społecznych sporów. A szkoda.

„GW”: — I na koniec metryczka polityka. Czy zgadzacie się z opinią, że sfera prywatności polityka jest bardzo mała, że opinia publiczna chce wiedzieć — co więcej, uważa, że ma do tego prawo — wszystko, co prawie wszystko o życiu prywatnym osób z pierwszych stron gazet?

S.Z.: — To też sfera jawności życia.

„GW”: — Ile zarabiacie?

S.Z.: — 19.800 zł. Nie mam żadnych premii, ani dodatków za staż. Tyle też otrzymywałem jako wiceminister Rolnictwa.

„GW”: — Jak mieszkać?

S.Z.: — Jestem między Warszawą a Białymstokiem. W Warszawie mam mieszkanie dobre, wykupione na własność. W Białymstoku mieszkam aktualnie w hotelu partyjnym, a teraz mam otrzymać mieszkanie służbowe (36 m kwadr.). Natomiast hotel na Akademickiej przekazyjemy do dyspozycji Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Usług Turystycznych jako obiekt otwarty.

„GW”: — Samoohód?

S.Z.: — „Maluch”. Dla całej rodziny.

„GW”: — Czy bierzecie pożyczki?

S.Z.: — Tak. Z banku na wykupione mieszkanie i od znajomego rolnika-sadownika 40 tysięcy złotych na „malucha”.

„GW”: — Skąd tyle pożyczek? 19.800 to może nie za dużo, ale i немало.

S.Z.: — A przepraszam... Córce do niedawna studentce, która w Białymstoku ma własną rodzinę trzeba pomóc. A ponadto w ostatnich latach od 1974 roku miałem niejedną przepracowaną. To kosztuje.

„GW”: — Hobby? Jak dotąd pierwszy sekretarz polowań.

S.Z.: — Też poluję, ale to nie moje hobby. Rzadko mam czas na wypad do lasu. Lubię jeździć na nartach. Ziem utrzymać się w jako takiej kondycji codziennie rano biega przez 30-40 minut. Ludzie na mnie patrzą jak na sensata.

„GW”: — Gdzie Wasza żona zaopatruje się w mięso? W kolejkach jak inne kobiety?

S.Z.: — Naturalnie. Dzisiaj nawet dzwoniła, że wystąpiła po kawałek schabu i wolowiny.

„GW”: — Co ostatnio czytaliście?

S.Z.: — Oprócz biuletynów, gazet i różnej bibuły na nie innego nie mam czasu.

„GW”: — Jak Zjazd przyjmie zasadę zajmowania partyjnego stanowiska przez na przykład dwie kadencje, to gdzie potem chcielibyście odejść?

S.Z.: — Po pierwsze, nie wiem jakie będą wyniki wyborów, czy w ogóle zostaną wybrani. O ile tak, to wystarczy mi jedna kadencja. Słowo daje. A potem chciałbym odejść do takiej pracy, gdzie pracuję się osiem godzin.

„GW”: — O czym do Was piszą ludzie?

S.Z.: — Sportu piszą. I o bardzo różnych sprawach. W liście nie brakuje trosk ogólnych i indywidualnego rozgoryczenia. Krótko mówiąc są one odbiciem tego wszystkiego co się u nas dzieje.

„GW”: — Kto Towarzystwa ostatnio skrytykował i za co?

S.Z.: — Najbardziej przejął się krytyką jednego z towarzyszy z PKP, który skrytykował moje wystąpienie na przełomie listopada i grudnia na naradzie aktywny w Białymstoku. Powiedział mi wprost, że to co usłyszał może przeczytać w gazetach, bo to co powiedziałem było „na okrągło”. Wydało mi się, że wyciągnąłem z tego odpowiednie wnioski.

„GW”: — Czy zgadzacie się z zaskazaną opinią, że jesteśmy zbyt mało energiczni w działaniu?

S.Z.: — Trudno samemu się oceniać. Mamy dzisiaj szczególne warunki, w jakich pracujemy i w jakich kształtują się opinie o ludziach. Postawa działacza zależy od jego predyspozycji, ale chyba w pierwszym rzędzie od twardej rzeczywistości. To prawda — nie lubię pochopnych decyzji. Jeżeli mogę kogoś skrzywdzić, to mocno się zastanawiam. Inni znowu mi zarzucają, że jestem za tolerancyjny. Chciałbym działać szybko, energicznie, ale rozważnie. Materia polityczna jest zbyt delikatna i muszę to mieć stale na uwadze.

„GW”: — Co do najbliższych miesięcy w Polsce, Towarzystwo jest optymistą czy pesymistą?

S.Z.: — Raczej optymistą, chociaż wiem, że to gładko nie pójdzie. Zresztą — zawsze w życiu byłem optymistą.

„GW”: — Dziękujemy za rozmowę.

Rozmowę z tow. S. Zawodzińskim prowadziliśmy w dniu 19 marca br. Teraz, przed jej publikacją sformułowaliśmy dodatkowe dwa pytania:

„GW”: — Co towarzyszy Sekretarz chciałby zmienić w zapisie naszej rozmowy?

S.Z.: — Odzwierciedlała ona moje poglądy i odczucia w tamtych dniach i dzisiaj nie uległy one zmianie. Mimo rozwijającego się dramatycznego konfliktu i naturalnej ulgi, mój optymizm, który wtedy prezentowałem — uległ jednak zachwianiu.

„GW”: — Jak najkrócej sformułować refleksje dotyczące naszej sytuacji politycznej w świetle ostatnich wydarzeń i obrad IX Plenum KC?

S.Z.: — Aby odpowiedzieć na to pytanie musielibyśmy odbyć drugą obszerną rozmowę. Sytuacja zmienia się, jest ona bardziej złożona, choć jaśniej i ostrzej zarysowały się tendencje trudnego procesu socjalistycznej odnowy. Bezdzienne i musimy na te tematy rozmawiać, bo szeroki, mądry i cierpliwy dialog, prowadzący do konstruktywnych rozwiązań jest dzisiaj zdecydowanie bardziej potrzebny niż kiedykolwiek. Wiem jedno: musimy wspólnie wykazywać dużo śmiałości i odwagi, aby iść rozsądną drogą w interesie naszego niespokojnego kraju.

Rozmawiali:

J. SOCHA
J. STANKIEWICZ
Fot. Z. Zaremba

ciąg dalszy ze str. 3

niedalekiej przyszłości znacząco się nieczym słupki milowe na drodze rozwoju tej kultury. Pokolenia działaczy, literatów i pisarzy białoruskich zapracowały solennie na to, by w końcu objawili się wśród nich wielcy — Jan Łuciewicz (Janka Kupała), Maksym Bałdano-wicz, Konstanty Mickiewicz (Jakub Kolas), którzy wyprowadzili słowo białoruskie z zasięgu Europy, nadając mu rangę równego srodz równych. To za ich sprawą proces krzepnięcia tego narodu nabrał charakteru lawinowego, nieczym rozpysko diamentów, jarząc się gwiazdami pierwszej wielkości w postaci dalszego gromadzenia potencjału duchowego, który później kojarzy nam się również z takimi wielkimi nazwiskami jak Bronisław Taraszkiewicz, Aleksander Pruszyński (Aleś Harun), Mikołaj Romanowski (Kuzma Czorny), Maksim Harbecki, Bronisław Epimach-Szy-piło, że skończy na okresie do średnia lat dwudziestych. Współczesne nam dzieje białoruskie są na tyle rozległe już, że trudno je nawet sygnalnie wypunktować, i bynajmniej nie idzie mi o ich jakiś przekaz, co byłoby zamierzeniem wręcz absurdalnym na ramy artykułu. Chciałem w ten sposób dać tylko pierwsze odczucie powierzchniowe zjawiska białoruskiego, w intencji prawdziwego zainteresowania nim, odsyłając czytelnika do odpowiednich lektur polskich, np. „Historii Białorusi” Marcelego Kosmana czy „Historii literatury białoruskiej” Andrzeja Chojnowskiego. „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939” — wszystkie wydane przez wrocławskie Ossolineum. Powinni pocztać to zwłaszcza ci, którzy nader ochoczo zabierają głos w tematach białoruskich; płotą przy tym straszyć. — Szczególnie polecam „Rzecz o Bronisławie Taraszkiewiczu” warszawskiej historyczki, Aleksandry Bergman; książkę, którą traktuję jako głęboki i barwny jednocześnie wykład polityki białoruskiej i, zarazem polskiej wobec Białorusinów. Cenna to pozycja!

Białorusinów w Polsce jest, rzecz jasna, więcej; można je łatwo odnaleźć w wykazach bibliograficznych zamieszczanych na końcu każdego poważniejszego pozycji naukowej, spośród których o kilku akurat wspominałem. Niech mi PT Czytelnicy wielkodusznie wybaczą, niejaką zjadliwość tonu wypowiedzi tej mojej: proszę zrozumieć — dotyka ona zagadnień i wiedzy, które dawno winny być o-czywiście, wręcz pachnieć u nas banalnością. Niestety, niestety, ciągle więcej tu sensacji niż o-kulturowania i pogłębienia kultury na wschód od Bugu! Nie lubi prawie nikt, choć to i TPRP jest i BTRSK, i coś tam jeszcze... Na ogół to Rosja jemu tam i koniec, kropka.

Czytelnikowi należy się w tym miejscu jeszcze jedno wyjaśnienie. Skąd się bierze utwór-mienie obecnie narodowości białoruskiej z wyznaniem prawosławnym, kształtowanie się synonimów, albo raczej stereotypów: Białorusin — prawosławny, prawosławny — Białorusin. Otóż — ruch białoruski, jak i każdy inny ruch narodowy, począł się w środowisku elity społecznej, w tym wypadku średniej i drobnej szlachty, jak wiemy: katolickiej w swej masie. Następnie uległ on procesowi demokratyzacji, stopniowo ogarniając swym zasięgiem wreszcie chłopów, najężej — prawosławną. Cozura jest tu rok 1905 i w zrywem-ianie doprowadził do rozdziału obowiązków corocznego składania w szkołach deklaracji na piśmie (konieczność własnoręcznej) niejaką proulugującą nieustającą, póki co, choć i wole posyłania swych laterośli na lekcje białoruskiego. Ponadto — lekcje te przesunięto w rozkładach tak, by tym uparcuszkom odechciało się dłuższego o tę godzinę pobytu w „budzie”. W środowiskach jednolite białoruskojęzycznych oczywiście postarano się jednocześnie skończyć ze statusem obywateli-kościoła na naukę tego przedmiotu. — Teraz Kuratorium Okręgu Szkolnego Białostockiego usiłuje „odkrecać” to wszystko, oby Pan Bóg mu dał cierpliwość i zdrowie w odgruzowywaniu owych rumowisk!

W warunkach peryferyjności województwa białostockiego, życie narodowe miejscowych Białorusinów nabrało rumieńców dopiero po ustanowieniu w Polsce ludowości. W 1949 roku przystąpiono do odbudowy sieci szkół białoruskich (zlikwidowanych do 1947 r.); w 1956 utworzono Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, oddając je pod opiekę MSW,

i redakcję tygodnika „Niva” (świętują dziś srebrne jubileusze). Widocznie dojrzała wielka potrzeba na tego rodzaju inicjatywy, jeśli — nieczym przysłówowe grzyby po deszczu — kiełkowały kolejne poczynania, zapoczątkowując życie literackie, naukowe, artystyczne itp. Niektóre dziedziny aktywności białoruskiej w Białostoku okazały się pionierskie dla regionu, że posłużę się tu przykładem literatury stowarzyszonych w „Bielawie”, którzy spełnili rolę drożdży w rozroście lokalnego środowiska pisarskiego. Dwunastolecie (1956-1968) znacząco się harmonijną realizacją aspiracji tej ludności niepolskiej. Wojewódzka Rada Narodowa wydała aż uchwałę w sprawie pomocy dla niej (vide: „Kalendarz Białoruski”, 1968) i było wiele innych ładnych gestów ze strony rządzących, które świadczyły o tym, że zależy im bardzo, aby nie doszło do zaistnienia obywateli drugiej kategorii.

Niebawem cała ta sielanka weszła w smugę następnego dwunastolecia, które trzeba by jakos podsumować, przynajmniej z grubsza i ku przestroze Rzeczypospolitej tu i dziś (1968-1980).

— Nie chodzi o zale, idzie o naprawę, nie wolno niczego przemilczeć, jeśli ktoś z rządu odnowa nie ma skończyć się uspokajającym gaskaniem po głowie placzącego dziecka. To zła praktyka; zapamięjmy co było, myślny o przyszłości! Wybaczenie, ale zawięza mi od niej już cwaniactwem.

Wciąż tak: białoruski fragment rzeczywistości białostockiej stopniowo przestaje mieć ekspozycyjny walor chwały (choćby na użytek rozgłaszanej tolerancji, tradycyjnej, historycznej i tak dalej). Istnienie jej zaczęło nagle u-wierać naszych decydentów, nieczym odcisk w bucie. Podobno szło o umocnienie jednolite moralno-politycznej narodu... Bycie Białorusinem stawało się więc... niemoralne, niepolityczne?

Najpierw zabrano się za szkolnictwo, bo wiadomo, na czym siedzi kultura narodowa jako taka, jej żywotność i powszechność. W ciągu lat siedemdziesiątych zredukowano je do skali wręcz symbolicznej (żeby nie powiedzieć — groteskowej). W porównaniu z rokiem szkolnym 1969/1970 — ocalała dziś ledwie piątka części uczniów pobierających naukę kulturalnego zjawiska ojów i matek. Skorzystano ze sposobu sprawowania w pochodach asymilatorstwa: zrobiono stawkę na zmniejszenie psychizacji, czyli Ministerstwo Oświaty i Wychowania wprowadziło dla rodziców obowiązek corocznego składania w szkołach deklaracji na piśmie (konieczność własnoręcznej) niejaką proulugującą nieustającą, póki co, choć i wole posyłania swych laterośli na lekcje białoruskiego. Ponadto — lekcje te przesunięto w rozkładach tak, by tym uparcuszkom odechciało się dłuższego o tę godzinę pobytu w „budzie”. W środowiskach jednolite białoruskojęzycznych oczywiście postarano się jednocześnie skończyć ze statusem obywateli-kościoła na naukę tego przedmiotu. — Teraz Kuratorium Okręgu Szkolnego Białostockiego usiłuje „odkrecać” to wszystko, oby Pan Bóg mu dał cierpliwość i zdrowie w odgruzowywaniu owych rumowisk!

Równolegle dojrzało zbyleczność egzystowania Białoruskiego Muzeum Etnograficznego w Białowieży i nie nie pomogło to, że zwiędziała Europa, i jest w encyklopediach, i skarb państwa nie kosztowało ono złamane-grosza (takie to było zawzięcie społeczne!) Ekspozycja, kompletowana przez lata całe, rozkurzona po placówkach muzealnych; ponoć najwięcej dostało się ciechanowieckiej. Niedawno Wojewoda Białostocki, cały w skowronkach, przedłożył delegacji białoruskiej warunki propozycji wskrzeszenia Muzeum; gadają w terenie, że uzyska ono warunki „kud-” lepsze niż miało (więc chociaż taka korzyść z tego).

Przejechało się też — a jakże, ile się dało! — po działalności artystyczno-scenicznej. Białoruski Zespół Estradowy „Lawnich”, do dziś pamiętany we wsiach i miasteczkach województwa, rozgoniono stosunkowo łatwo (obcinając w MSW etaty instruktorskie). Nie ilczono się doświadczenia, tym bardziej z zaskagami i orderami estradowców. Jak ongi — sam Kulaszewicz, dyrektor Białostoc-

le! Czyż można mieć nam za złe, że wobec takiego ultimatum wywaraliśmy to drugie? — Kto to teraz odnowi? Może Zygmunta Ciesielski jako dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW? Być może, przecież uczestniczył — pamiętam — w zebraniu założycielskim Koła, obecnie zaś, będąc finansistą Białostockiego Towarzystwa Naukowego...

W listopadzie 1976 roku powstał Klub Literacki Związku Literatów Polskich w Białymstoku. Ojcowi mu ówczesny dyrektor tegoż Wydziału KIS. Bez jego inspiracji, naprawdę nie byłoby u nas żadnej poważniejszej organizacji literackiej (po utraceniu przez czyn-niki polityczne w 1972 r. próby powołania w mieście Oddziału ZLP, całkowicie realnej wtedy). Alieści szczęście trwało krótko (taka jego natura?). Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP otrzymał w 1979 r. petycję z podpisami wielu o zorganizowanie w tymże Białymstoku drugiego Klubu ZLP, jak rozgłoszone po kawiarniach — czysto politycznej w swej organizacji; nie intencji? Ot i masz ci, dziadku, kijek — Zbigniew Kycia, nowy wówczas dyrektor Wydziału Kultury tak pojmował swe starania na rzecz integracji środowisk białostockich i ich moralno-politycznej jednolite. W Warszawie literackiej długo nie wiadano, czy to żart miał być z tym drugim klubem, czy tzw. podpu-cha?

Wydawanie almanachu „Rewers”, opartego w swych założeniach na udostępnianiu polsz-czyźnie utworów pisarzy białoruskich i białoruskiej literatury polskiej (patrz: związki naturalne) skoczyło się na edycji inauguracyjnej (LIII.1979 r.). Będąc redaktorem „Rewersu” — doświadczyłem na jednym z wysokich szczebli wojewódzkich w zasadzie identycznej dysputy, jak w przypadku wspomnianego zbiorku prac naukowych!

Zabierając się do pisania tego artykułu u-wiadomiłem sobie wnet, że tylko przykładać mogła tu coś powiedzieć i że jak najmniej trzeba ogólnikowego gaworzenia, jak to bywało, obliczonego na domyślność Czytelnika. I że tylko drastyczny przykład ma rację bytu w publicystyce, taki właśnie jest w stanie udźwignąć nysę przewodnią, intencję autorską. Zdaje sobie sprawę z tego, ile oburzenia zapewne wywołała ta moja publikacja u tych, którym wysokość przyszedł albo i wrzód na sumieniu, skrzętnie zalepiany jakimś płastrem. Proszę bardzo — mówcie, w czym skłamałem, gdzie i jak, i w którym miejscu jestem bez racji!

Problemy obywateli Polski Ludowej, lecz nie-Polaków, problemy obywateli Białorusinów — winny obchodzić wszystkich w naszym Państwie. Sprawy białoruskie nie powinny i nie mogą być il tylko wyłącznie obchodzącymi samych Białorusinów. Jeśli nie tak, to szkoda gadać: wszystko w tym względzie zostanie po starciu, oczywiście podretruszowane dla uładnienia i z duchem czasu. Politykę zawsze się robi w imieniu narodu, więc i rozliczamy ją publicznie, by każdy orientował się w niej i mógł dać własną jej ocenę.

W interesie także — podkreślił to — kultury polskiej jest utrzymanie i rozwój regionu białoruskiego w województwie białostockim. Działania niwelujące go zubażają u nas wielość inspiracji kulturowych, tworzą zażuch, przeczą wręcz tradycjom — Rzeczypospolitej Wielu Narodów (jak nazwał to Aleksander Małachowski z „Kultury”). Są po temu warunki i w samym społeczeństwie, skoro o to zmuszono centralę, by przywrócić oryginalne nazwy wsiom poukrainskim w Bieszczadach, a i w Białymstoku coraz głośniejsze, o kontynuowaniu idei utworzenia Muzeum Ikon, niepotrzebnie zarzucone.

Wreszcie — pulsowanie polskiego fragmentu kultury białoruskiej, jakie bliskiś Polakom historycznie, bogaci i samą tę kulturę całą o wartości z przynajmniej jej kraju i narodu.

SOKRAT JANOWICZ

Muzyka i ŻYCIE

Znowu będzie o Filharmonii. Nie tylko o Białostockiej, lecz o filharmoniach polskich w ogóle; nasza nie jest uca-le wyjątkowa, ani tak zła, ani tak dobra, powiedzmy — niezła. Przed tygodniem spojrzałem na nią pod pewnym kątem i z konieczności było to spojrzenie przełotne, ale spojrzenie stałego (nieco z konieczności) słuchacza. Tym razem proponuję zajrzeć za kuliszy. Dzisiaj może to już nie stanowić atrakcji, bo tyle znacznie mroczniejszych kulis objawiło w ostatnich miesiącach tajemne zakamarki, pochłaniając naszą uwagę i bulwersując nas mniej lub więcej. Zjawiska kryzysowe nie o-minięły przecież i kultury muzycznej, a zatem i dzień dzisiejszy filharmonii jest odbiciem niedomagań naszego życia gospodarczego, społecznego, nawet politycznego. Zaczniemy od ekonomii.

Przepis na dobrą orkiestrę jest prosty: weź dobrych muzyków, daj im bardzo dobre instrumenty, postaw wybitnego szefa-dyrygenta i dodaj trochę czasu. Ta mikstura podobna jest nieco do wina — im starsze, tym lepsze. To samo mówi się o skrzypcach, zaczniemy więc od nich.

Ze skrzypce (również altówki, wiolonczele) im starsze tym lepsze, to prawda, lecz nie całkowita, bo mogą być stare, a do niczego. Zależy jak stare; jeżeli nie za-bardzo — to nie za bardzo dobre, a jeżeli starowini-stu i więcej letnie — to już lepsze bądź nieźleowane. Cała tajemnica polega na tym, iż dawno lutnicy pracowali według zasady sformułowanej w Polsce w mi-nionym okresie, i oznaczonej skrótem DORO. Otóż przed

wiekami dobrą robotę wykonywano bez hasła i widać się opłacało. Świadczą o tym między innymi skrzypce Stradivarius, Bergoniego, Amatic, Guarnerich, a u nas — Dankwartów, Grobli-czów i wielu, wielu innych. Niestety z tych świadectw dobrej roboty niewiele w Polsce pozostało — w prze-nośni i doświadczeniu. Historia nie obszła się łagodnie z ty-mi uspaniałymi instrumentami, które kiedyś posiada-liśmy.

Dzisiaj nawet najlepsze polskie orkiestry nie mogą równać się z zespołami, w których każdy muzyk gra na doskonałym instrumencie. Jak przed tygodniem, odwołam się do opinii Stanisława Skrowaczewskiego: „Brzmienie niektórych orkiestr amerykańskich jest niezrównane, ponieważ mają one niekiedy do dyspo-zytu dużo ilości starych, włoskich instrumentów smyczkowych, i tego efektu nie można inaczej osiągnąć, bo nawet najwspanialszy muzyk grający na kiepskim instrumencie nie przekroczy progu jego słabych możliwości brzmieniowych”.

A jaka jest sytuacja w polskich filharmoniach, w których muzycy są chyba dobrzy, skoro chętnie się brani na zagraniczne kontrakty? Oczywiście kryzysowa. Henryk Czyż, w dyskusji okrągłego stołu na Kongresie Upowszechniania Kultury Muzycznej w grudniu 1979 roku, opowiadał o dziurawych (dość nowych!) waltor-nach, zacinających się klawisach fortepianów i trak-bek. Może nieco przesadzał, ale instrumenty są drogie, nawet bardzo drogie i płaci się za nie na ogół dewiza-

mi. Importujemy niewiele, coraz mniej, czemu trudno się dziwić, gdyż najpierwo-o-czekujemy „panem” i dopie-ro syci wolamy „citizenses!” A tymczasem Centrala Handlowa Przemysłu Muzycznego musi obsłużyć coraz więcej filharmonii, orkiestr, zespołów występujących jak grzyby po... reformie administracyjnej. Jeszcze do 1975 roku działało w Polsce 19 filharmonii i orkiestr symfonicznych, w 1978 roku było już ich 22, a rok później — 26. Jak tak dalej pójdzie, już nie każde województwo, lecz i gmina będzie miała swoją filharmonię lub przynajmniej jej filię. Ale nie pójdzie. Nie starczy instrumentów.

Nie wystarczy także muzyków. Do pytania: dlaczego? — jeszcze kiedyś powrócę, bo jest to dosyć zagadkowe przy takiej ilości szkół muzycznych. II stopnia kształcących muzyków zawodowych. Fakt jest nie-bywala koniunktura zwła-szcza na skrzypkach, alto-wiolistach i wiolonczeli-stach, bo tych w orkiestrze symfonicznej musi być najwięcej. Zniecierpliwieni dyrygenci „póki co” wypo-życzają sobie muzyków na koncerty wymagające więk-szej obsady; jak się da i są środki, mieszkani — to ka-perują. A muzycy — też lu-dzie, idą tam gdzie lepiej, gdzie dadzą więcej. Najchętniej, gdzie dają zielone, a więc na zachód, czasem północ, czasem południe. Sze-fowie filharmonii muszą za-tem nie tylko stać na po-dium, ale często i na głowie, ponieważ tylko w tej pozycji można przystosować się do rzeczywistości i znaleźć sposób na powiększenie fundu-szu plac. W tej stałej walce o muzyków wygrywa ten, kto znajdzie efektywniejszy sposób i więcej pieniędzy. Dyrektorzy, którzy chcą utrzymać dobrych muzyków, chwytają się muszą różnych, nie zawsze czystych, formal-nie metod. Henryk Czyż przyniósł, że jest przesłupką, a co gorzszą stwierdził, że gdyby nim nie był, to w ogóle nie mógłby pro-wadzić instytucji. I dostał za to brawa od kongresowej publiczności. Nie dla każdego jednak „nie taki diabeł straszny”.

Co może robić w tych wa-runkach szef profesjonalnej (geograficznie) filharmonii, w takim na przykład ośrodku jak Białystok, gdzie muzycy nie bardzo gdzie mają zarobić w sposób satys-fakcjonujący artystycznie? Pedagogika nie każdemu odpowiada; najlepszy instru-mentalista chciałby przede wszystkim jak najwięcej grać dobrej muzyki i to nie tylko w orkiestrze symfoni-cznej, lecz także w zespo-lach kameralnych, występować z recitalami. Chciałby nagrywać dla radia, na płytę, dla telewizji. Tych możliwości nie daje praca poza wielkimi centrami kulturalnymi. A jeżeli już grać tylko w filharmonii, to porządnej, z którą można tu i ówdzie wyjechać. I zarobić. Za ciężką pracę, codzienne ćwicze-nie, a przedtem kilkumasto-letnią naukę i studia. Py-tanie na marginesie: jakiz zawód wymaga szesnastolet-niego specjalistycznego kształcenia tak jak np. za-wód skrzypka? Czy można się dziwić, że wyjeżdżają za granicę? Pracują tam w swoim zawodzie, nie są po-magaczami, jak rzese in-nych naszych rodaków. A wyjeżdżają nieraz tylko po to, by kupić dobry instru-ment (swoją warsztat pracy), czasem mieszkanie (to równie dla muzyka jest warz-tat pracy, jak dla plastyka pracownia). Państwo też na tym zarabia. Wyjeżdżający na bory kontrakty muzy-ki, to forma eksportu do drugiego obszaru płatnicze-go.

Tymczasem w polskich orkiestrach dziury w obsadzie. Na ważniejsze koncerty jakoś się je wypełnia, ale te wypełnienia słychać. Orkiestra to przecież znacznie więcej niż prosta suma muzyków. To organizm; wymiana jednego elementu narusza całość. To jak przeszc-zep, który się przyjmie lub nie, wymaga to jednak czasu. Rezultatem stałej wędrowki instrumentalistów jest obniżenie poziomu pol-skich orkiestr. Tworzenie nowych zespołów powoduje co-raz większy chaos, rozproszczenie kapitału — tego ziołotkowego i tego nie mniej-szego, który tworzą wykształceni muzycy i cenne instrumenty. Na przechodzenie jakości w ilość chyba jednak nas nie stać.

STANISŁAW OLEŹKI



Muzeum Okręgowe w Jeleniej Górze posiada jedną z najbogatszych kolekcji szkła w Polsce. Inspira-cją do jej powstania były wielowiekowe tradycje szklarskie Ziemi Jeleniogórskiej oraz znaczenie hut-nictwa tego regionu w skali krajowej i europejskiej.

Udostępniona widom w 1972 roku ekspozycja szkła, ciągle wzbogacana i uzupełniana o najciekawsze i naj-wartościowsze przedmioty, jest znakomitą przeglądem cymeliów posiadanej przez muzeum kolekcji i ukazuje w aspekcie historycznym dzieje szklarstwa śląskiego na tle osiągnięć polskich i zagranicznych ośrodków szklarskich. W kolekcji oprócz wspaniałych kielichów, szklanych naczyń, przedmiotów użytkowych i ozdób-nych znajdują się także interesujące witraże. Część z nich przedstawia podobizny sławnych Polaków.

NA ZDJĘCIU: Jan III Sobieski.

Opracowanie: CAF

Koncert francuskiego pianisty

Ośrodek Polskiego Komite-tu Współpracy z Alliance Fran-caise, działający przy Filii UW w Białymstoku, zaprasza miłośników muzyki poważnej na recital fortepianowy Erica Davoust, uczestnika Konkursu Chopinowskiego w 1980 roku. Koncert odbędzie się 6 kwie-cia „br. o godz. 17 w sali Mu-zeum Okręgowego w Ratuszu. W programie — utwory Scar-lattiego, Mozarta, Prokofiewa i Chopina. (Jot)



NA RYSUNKU: barokowy wazon przy Pałacu Braniczkich w Białymstoku.

Ocalić od zapomnienia

Po nas choćby ruiny?

Zabytkom dzisiejszy czas nie sprzyja. Bo niby jak tu zajmować się starymi pałacami czy wiatrakami, gdy brakuje mieszkań i żywności. Te racje wydają się być uzasadnione. Ale są też inne racje, tak samo ważne dla nas jak i dla przyszłych pokoleń — są to racje historii, tradycji i ciągłości narodowej kultury, a przede wszystkim racje czasu. Po prostu zabytki czekać nie mogą. Niszczące działanie czasu i, nierzadko, ludzka niefrasobliwość powodują systematyczną zagładę wielu zabytków, których, jeśli się w porę nie uratuje, to już nigdy w przyszłości ich nie będzie.

Sprawy zabytków walczy się od lat, ale skutkiem jest odwrócenie proporcjonalny do głosów opinii publicznej. Stać nas było przeważnie na bieżąco, odnowę zabytków — obiektów z okazji uroczystego jubileuszu jakiejś miejscowości, lub, na przykład, centralnych dożynek, bo trzeba było się pochylać, więc na gwałt restaurowano wybrane obiekty i malowano

fasady. W kosztowne, pseudostylowe elewacje strojono też nowe, nie mające nic wspólnego z zabytkami, zespoły domów — tworząc modne „starówki”, podczas gdy na odbudowę wieloletnich oryginalnych obiektów nie było pieniędzy, materiałów i budowlanych mocy.

Nie dozrekał się dotychczas odbudowy na przykład jedyną w północno-wschodniej części Polski

rehabilitacyjny zespół poklasztorny w Sejnach, gdzie tylko część kościoła — dzięki społecznej inicjatywie gospodarza — świeci białą tynką i wspaniałymi wnętrzami, kontrastując z odgrzanymi i zawilgoconymi murami, bliskimi zupełnej ruiny, w części użytkowanej przez różne instytucje.

Rozpadł się w stertę gruzu sławny dworek w Holnawie Meyera, nikt nawet nie tknął palcem, by zabezpieczyć przed rozpadem zabytki związane z Głogiem — nie mówiąc już o skandalicznym wprost zagrożeniu zabytków w Supraślu, Szczuczynie, Drohiczyńcu, Łomży i chyba w każdej znanej z historii miejscowości na terenie północno-wschodniego regionu kraju. Zresztą tak naprawdę, to nikt nie wie, ile w naszym regionie mamy tych historycznych obiektów, które ratować trzeba natychmiast.

Dzisiaj trudno odratować zaniebiedania, ale nie możemy zapominać, że sprawa ochrony zabytków łączy się z ochroną tzw. krajobrazu kulturowego, gdzie chodzi o nasze dziedzictwo i otoczenie.

Ochrona zabytków domaga się społeczeństwa, o czym świadczą choćby liczne listy w tej sprawie nadsyłane do naszej redakcji. To zainteresowanie historycznymi obiektami wynika — wydaje się — z pobudek podobnych do tych, jakie

towarzyszyły społeczeństwu w pierwszych latach po wojnie, gdy — mimo ogromnych trudności gospodarczych — podjęto odbudowę zabytków zniszczonych przez okupanta w świadomej akcji niszczenia kultury polskiej. Chodziło wtedy nie o kulturalny mur, lecz o coś ważniejszego, a nawet bezcennego — chodząco o uodokumentowanie świata, że mimo straszliwych zniszczeń i klęsk naród polski ocalał swoją ciążącą historię, kulturę i narodową godność. Nie trzeba nikomu udowadniać, jak bardzo to się opłacało.

Dlatego i dziś, mimo trudnej sytuacji ekonomicznej kraju, ochrona dziedzictwa kultury musi pozostać tą dziedziną działań, na której nie powinniśmy się oszczędzać.

Tekst i rys.: HENRYK WILK

Dodatkowe reflektory, diodki kamer, fotoreporterzy kłęją lub leżą wokół maty. Gong. Polak, Adam Sandurski podaje rękę Rumunowi Andrejowi Janko, po czym rzuca się do walki. Rumun cofa się od początku, walczy pasywnie. Arbiter na matce waha się, nie chce jeszcze dawać Rumunowi ostrzeżenia. Nie zdążył go zresztą udzielić, gdyż Sandurski obejmuje przeciwnika w pasie, przybliża się do niego, lekko ugina nogi i Janko leci w górę. Uderza plecami o matę, koniec walki. Kolejne zwycięstwo Adama Sandurskiego, który w wadze superciężkiej w stylu wolnym wywalczył na igrzyskach w Moskwie brązowy medal.

SILACZ

Silacza polskiego, bo tak nazywają go w kraju, Adama Sandurskiego oglądaliśmy ostatnio na matce w Białymstoku podczas ogólnopolskich zawodów.

Wysoki, szeroki, umięśnione barki, siła. Ale i zwinność. Wszystkie pojedynki wygrał przed czasem.

— Trenował pan ciężary? — pytam.

— Nie.

— A wygląda pan tak jakby podziurzył w górę dziesiątki tysięcy ton.

— Być może. Dla mnie podnoszenie ciężarów to szaleństwo. Straciłbym szybkość i zwinność.

— Jak więc robi się takie bary i siłę?

— Treningiem na matce i niczym więcej. (let)

RELAKS



A. Sandurski (Stal Rzeszów) walczący w wadze powyżej 100 kg wraz z kolegą klubowym, Falandysiem występującym w wadze 48 kg. Olbrzymi kontrast.

W SKRÓCIE

PRZYCZYNY STRESSÓW
Psychiatrzy amerykańscy opracowali tabelę narastania i nakładania się na siebie sytuacji i zdarzeń działających na człowieka stresowo. Oto niektóre najważniejsze i najsukcesowniejшие stresory: śmierć bliskiej osoby (100 punktów), rozwód (73), separacja (65), czas spędzony w więzieniu (63), śmierć rodzica (63), choroba (53), ślub (50), zwolnienie z pracy (47), przejście na emeryturę (45), ciąża (44), problemy seksualne (39). Zgodnie z tą tabelą zgromadzenie w krótkim czasie ponad 300 punktów oznacza załamanie nerwowe.

ZMIANA RÓL W latach sześćdziesiątych i wczesnej dekadie lat siedemdziesiątych studenci japońscy nie studiowali na uniwersytetach europejskich i amerykańskich, przyjeżdżając do Japonii nowe idee i rozwiązania. Obecnie nastąpiła zmiana ról. Około 30 studentów Wyższej Szkoły Handlowej w Lyonie (Francja) uczą się pilnie japońskiego przed wyjazdem na stypendium do Tokio. Będą się oni interesowali w szczególności rozwiązaniami japońskimi w zakresie zarządzania i kierowania. Dzisiaj Japonia odgrywa tę rolę, jaką odgrywały USA w latach sześćdziesiątych.

„Wydaje mi się, że większość z nas robi coś podobnego w pewnym okresie życia — jakieś wydarzenie lub zdarzenie wywołuje u nas głębokie, emocjonalne wrażenie. Nie doceniałmy we wszystkim, co robimy, wagi reakcji emocjonalnych, które w krytycznym okresie życia ogólnokształcącej nasze zainteresowania w pewnym kierunku” — prof. René Dubois, mikrobiolog, w wywiadzie dla amerykańskiego pisma U. S. News and World Report.

Prace nad nowym rodzajem interferonu, 200 razy silniejszym od dotychczasowego, prowadzi dr Williams Catalana z Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Waszyngtonie.

(PAP)

FF-felieton faktu

Siedemnastowieczny dworek modrzewiowy w miejscowości Holnawie Meyera figurował w rejestrze zabytków pod nr 181. Po konserwacji dworek zapisano pod nr 46 — już jako dziewiętnastowieczny i murowany. Ostro konserwują.

Białostocka Komenda Chorągwi ZHP dysponowała jednym miejscem na wycieczkę na Kubę. Pojechał syn prezesa spółdzielni, która robiła wystrój wnętrza Kwatery Głównej w Warszawie. Prezes jest zuch.

Andrzej Bartosz i Wiesław Janicki z Rozgłośni Białostockiej donoszą tym razem w charakterze społecznych kontrolerów: śródmiejskie meliny rozszerzają asortyment. Można w nich nabyć mleko w cenie 20 zł za litr oraz świeże bułki po 5 zł.

Baza części zamiennych w Lipkach k. Czarnej Białostockiej wysłała do Częstochowy dwie tony złomu. Na miejscu okazało się, że są to dwie tony nowiutkich, fabrycznie opakowanych części zamiennych do importowanych z ZSRR i Jugosławii ciągników gąsienicowych. Cud.

Białostocki oddział WJS kooperuje z 40-ma zakładami. W praktyce wygląda to tak, że PZZ nie wypowiedziały się jeszcze jaką nakę dostarczą w drugim kwartale br., dostawca przetworów mlecznych nie ma rozdziałnika masła, ale za to obciąża regulację serów twardych i topionych. Po-

zbierają również znaczki pocztowe krajów ze strefy anglojęzycznej. Jest to zresztą całkiem zrozumiałe. Przede wszystkim wspólny język ułatwia korespondencję i wymianę. Ponadto decydują względy historyczne i kulturalne.

Oczywiście, najwięcej miłośników na antypodach mają znaczki brytyjskie zarówno klasyczne jak współczesne. W dalszej kolejności idą następujące kraje: Stany Zjednoczone AP, Kanada, b. kolonie brytyjskie wchodzące dzisiaj w skład Wspólnoty Narodów (Commonwealth), Wielu filatelistów austri-

Co słyhać na antypodach?

wiele stron „Stamp News” zapelniają ogłoszenia i reklamy. Często spełniają one ważne funkcje informacyjne.

A co zbierają australijscy filatelisci? Z lektury „Stamp News” można dość wiernie odczytać ich zainteresowania. Oczywiście, w pierwszym rzędzie zbierają oni znaczki ojczyste — kraju. Wiele firm reklamuje znaczki klasyczne oraz koperty z okresu przedznaczkowego. To oznacza, że filatelistyka chronologiczna cieszy się na antypodach znaczną popularnością. Raczej rzadko reklamuje się natomiast znaczki tematyczne.

W następnej kolejności idą znaczki i inne walory filatelistyczne z ościennych krajów: Nowej Zelandii, Papui-Nowej Gwinei i wysp Pacyfiku (Samoa, Tuvalu, Nauru, Kiribati itd.). Jak widać — nie nowego. I my chętnie zbieramy znaczki pocztowe naszych najbliższych sąsiadów.

Australijscy filatelisci — jak wynika z lektury „Stamp News” — chętnie

lijskich zbiera także znaczki Poczty ONZ.

A oto inne ciekawostki. Z „Stamp News” dowiadujemy się, że wybrano Miss Filateli. Została nią pani Cheryl Upston. Jest ona atrakcyjną, urodziną dziewczyną. Ale zaszczytny tytuł „Miss Filateli” otrzymała za popularyzację filatelistyki w prasie, radiu i telewizji oraz sprawą obsługi wystawy filatelistycznej „Sydper 80”.

Warto wspomnieć, że w „Stamp News” wydrukowano filatelistyczny komiks. Tak, tak. Jest to oczywiście ilustracja, poświęcona bajkom braci Wilhelma i Jakuba Grimm.

Wśród ilustracji znajdują się cztery znaczki, wydane przez Poczcie RFN w 1959 r. Na znaczkach widzimy ilustracje do ich pięknych bajek.

Są także w „Stamp News” polonica. Już na czwartej stronie firma Creswick Stamp Co. reklamuje znaczki polskie. W „Nowościach” pismo zapowiada też wydanie najnowszych polskich znaczków.

KOLEKCJONER

AUSTRALIA 18c



NA ZDJĘCIE: znaczek z serii „Pta-ki”, wydanej przez pocztę australijską. Fot. A. Zdrodowski

Okno w chmurach

Amerkański satelita „Pionier-Wenera” odkrył dziwne oświetlenie atmosfery Wenus. Podczas przelotów nad północnym biegunem tej planety, satelita natrafił na rozległe „okna”, występujące w gęstej powłokowej chmur, otaczających ściśle Wenus. Pomiaru temperatury górnych warstw atmosfery Wenus wykazały występowanie bardzo niewielkich wahań w granicach zaledwie kilku stopni. Natomiast nad biegunem północnym różnice te dochodzą do 45 stopni. W tym rejonie zarejestrowano też największą dla Wenus temperaturę powierzchni obiektów: minus 13 stopni. Te anomalie termiczne są — zdaniem uczonych — wynikiem obniżenia górnej granicy obłoków do 15 km. Podobna cyrkulacja warstw obłoków nad biegunem została wykryta przez sondę „Mariner 10” już w 1974 r.

(PAP)

Zbigniew Waydyk

MYŚLI NIESFORNE

Monit ku przestrodze młodości: fałsz się fałszem od-ciska.

Niedobra dekada: dychawiczna dycha lat.

Komenda „padni!” odnosi się najczęściej do tych, którzy unoszą czoło z godnością.

Komasacja teńdrzliwych postaw: głoęgorkoria.

Najgorzej, gdy metropolie intelektualne myślą kategoriami zapupia.

Nie spuszczały nigdy oczu z tych, którzy nam sen spędzają z powiek.

Nie są obce nam dyskusje, ale często są nam obce owoce dyskusji.

Kamizelka krępująca luz społeczny: uniformizm poglądów.

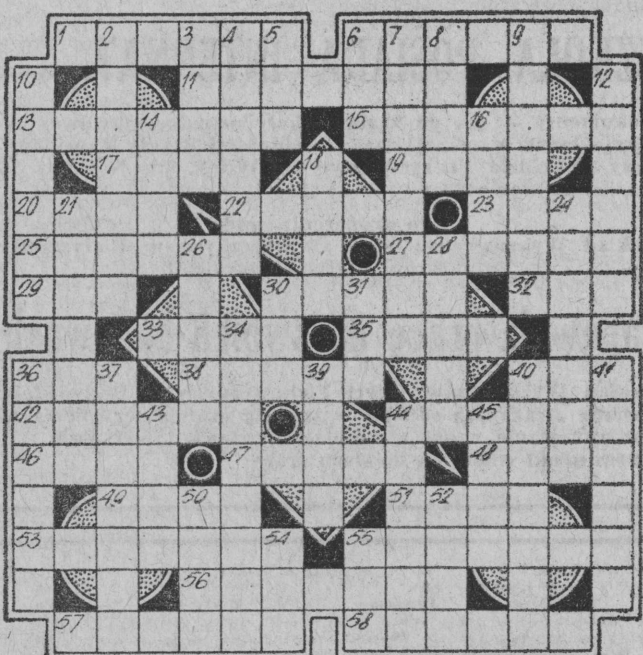
Zbrodnia quasi-medyczna: przeszczep sloganów do serca bijącego rytmem prostoty.

Amplituda epoki: między brakiem sumienia a... brakiem sumienia.

Teczkoście: wysiewający lateroście władzy przynoszone w teczkach.

Reglamentacja chwalebna: brak limitów na hasła i slogan.

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) ped wyrastający z pnia lub korzenia, 6) zepuszczenie się urządzenia technicznego, 11) nie piątek, 13) jednolity blok kamienny, żelbetonowy itp., 15) wada, defekt, 17) bydlęce zgromadzenie, 19) zapora wodna, 20) delfin z dorzecz Amazonki, 22) kajdany, okowy, 23) ekstrakt kawy zbożowej, 25) schadzka miłosna, 27) jedynka z dwunastoma zerami, 29) jednostka pracy, 30) smoluch, brudas, 32) okres w dziejach, 33) sarmacka pretensja, 35) futro z tchórzy, 36) coś z włoszczyzny, 38) imię cesarza niemieckich, 40) dolegliwość kulszowa, 42) otacza korzeń zęba, 44) strzeżenie, pilnowanie, 46) antonim zalety, 47) na powiece albo na wodzie, 48) „poczekalnia” dla statków, 49) dryf, 51) osad lodowy, 53) miejscowość w pobliżu Sandomierza znana z dużej przetwórczości owocowo-warzywnej, 55) stolica stanu Georgia, 56) kwiat, który kojarzy się z Dumasowską damą, 57) ciemna w rogu, 58) pierwiastek chemiczny albo mityczny cierpiennik.

PIOWO: 2) tańce w lokalu publicznym, 3) dziecko przyswojonego głupego i uparciucha, 4) pospolity krzew o białych kwiatach i czarnych owocach, 5) miękki metal z grupy potasowców, 6) kozera, 7) obszerne przedpokój, 8) papiery urzędowe, 9) robiecie kpiny z poważnych spraw, 10) styl w sztuce związany z panowaniem Napoleona I, 12) reprimenda, upomnienie, 14) np. śnieg, 16) imię autora „Nany”, 18) wianek kielbasy, 21) uśpienie chorego przed operacją, 24) wesoły orszak, 26) reguła, zasada, 28) leninowska gazeta, 30) w szachach, albo w marynarce wojennej, 31) zwierzę, pierwsiastek chemiczny lub rzeka, 34) już nie średniak, 36) kleska żywiołowa, 37) żywna gleba, 39) wszelka broń, 40) składa się z magazynu żywcia, hali uboju i działu obróbki jeli, 41) na nim zatrzymała się Arka Noego, 43) instytucja finansowa, 44) ruch organów roślin, 45) autor powieści „Miaśeczko na dion”, 50) prozaik japoński, autor „Ogni polnych”, 52) pra-Osetyjszy, 54) imię Sumac, 55) głos kobiecie.

HELLES

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć „Krzyżówka z nr 69”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 63

POZIOMO: sześciolatek, Toruń skóra, klasa, werwa, tyrania, alka, inlet, belg, dialog, omam, izolacja, atak, korzeń, oskoma, alumn, zwinka, atak, kankan, Amor, igap, Sana, karakul, aster, balans, antal, sznur, światopogląd. PIONOWO: sąsiad, esowka, czar, erkan, anatem, eter, korab, pupil, realizm, syta, wigon, netto, Agata, lroł, lodowka, ozena, maska, skansen, Amman, kajak, rumor, onkos, zagłada, tiul, kartel, nakład, maszt, rabus, pasmo, karw, tano.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 58 z 20 marca br., nagrody książkowe wylosowali: Elżbieta Stasiuk z Wysokiego Mazowieckiego, Elżbieta Hajduszewska z Michałowa, Małgorzata Bartosiewicz z Augustowa, Jolanta Januś z Białegostoku i Eugenia Wojcik z Białki Podlaskiej. Nagrody prześlemy pocztą.